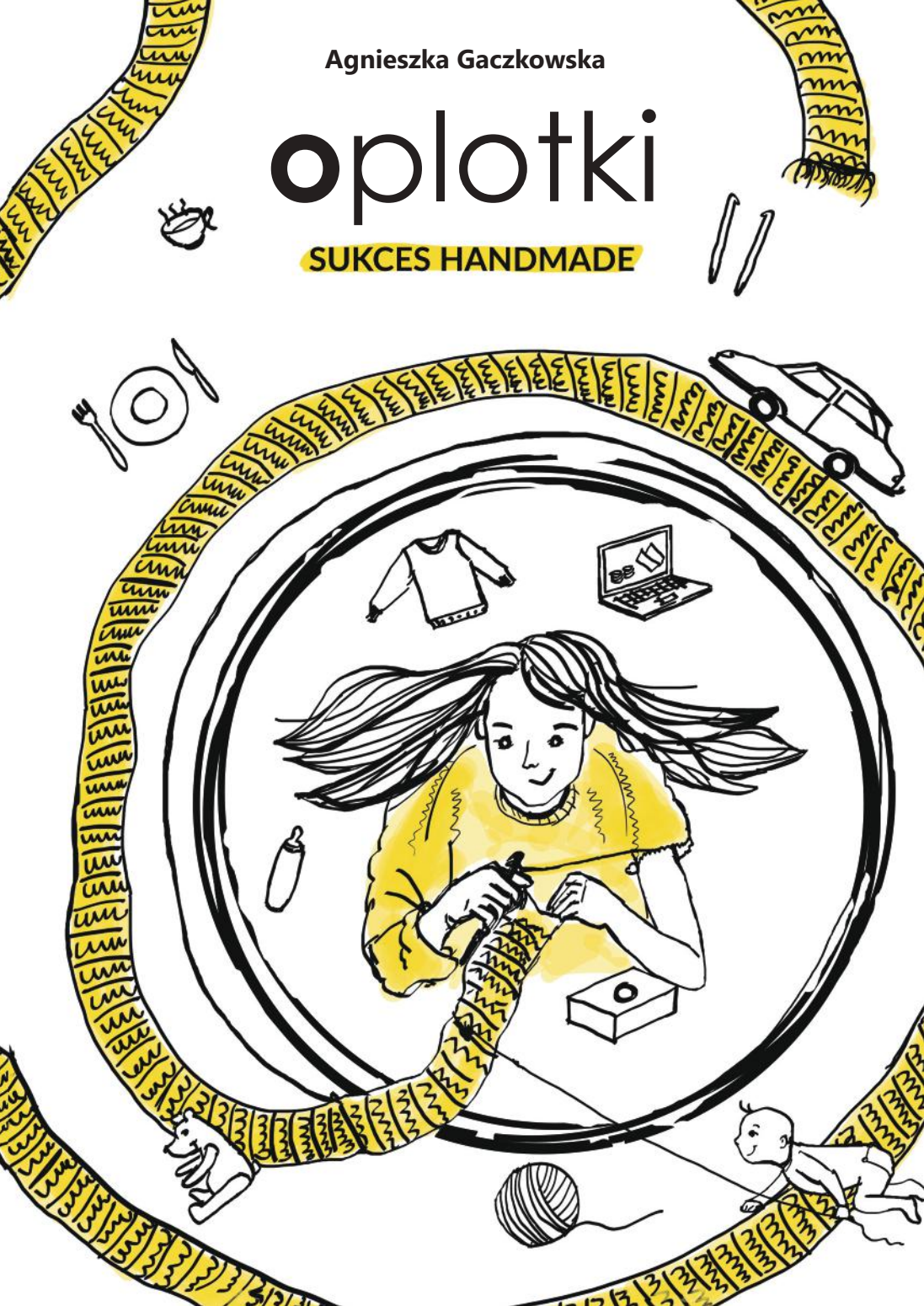
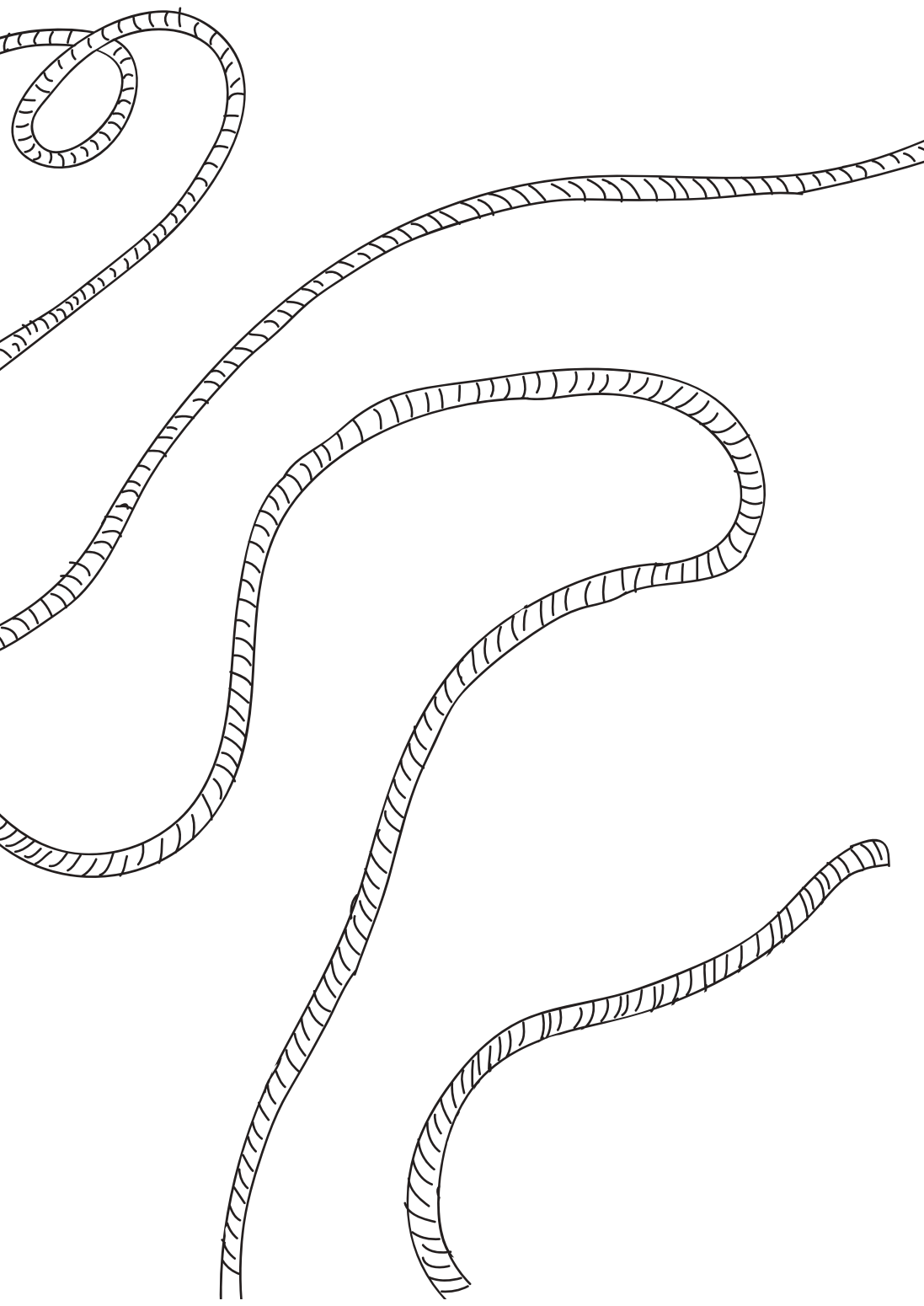


Agnieszka Gaczkowska

oplotki

SUKCES HANDMADE







MANUAL
&
NATURAL

HANDMADE
from
POLAND



Agnieszka Gaczkowska

oplotki

SUKCES HANDMADE



W S T Ę P

Ostrzegam.

Nie przebierałam w słowach (jak babcia, która przy darciu pierza potrafiła jedną frazą takiej życiowej mądrości skwitować mój półgodzinny monolog mędrkującego podlotka). Celowo się dyscyplinowałam, by nie pudrować rzeczywistości. Tego mamy pod dostatkiem w social mediach na co dzień.

Słowotok pewnie mam właśnie po babci – pisałam jednym wielkim ciągiem. Dla złapania oddechu pokroiłam tekst na rozdziały. Nie mogłam się oprzeć i szydełkowe metafory same cisnęły się na usta, kiedy szukałam odpowiednich fraz, które uchwycą ich sens. Brakowało mi jednak czegoś na końcu każdego z rozdziałów.

Dodałam refreny. (Że co?! Refreny to chyba w piosenkach raczej, nie?) Ano właśnie refreny! Przy darciu pierza dużo się śpiewało, kiedy wyczerpały się słowa.

Refreny, czyli powtarzające się podsumowania. Nie mogło ich zabraknąć w tej książce.



Rozszyfruję je dla Ciebie:

jednym słowem

to fragment, który streści Ci, o czym właściwie napisałam w danym rozdziale (na wypadek, gdyby trzeba było do czegoś wrócić w trakcie czytania), ale w formie enigmatycznej rękodzielniczej metafory.

a dokładniej

to taki wniosek, który uderzył mnie z siłą prądu, który przechodzi, kiedy w nocy bosą stopą nadeptuje się na klocek Lego. Wniosek, którym po prostu MUSIAŁAM się z Tobą podzielić.

zawiłość

to pytanie, które sobie zadawałam na danym etapie. Może kiedy zadasz je również sobie, odpowiedzi zaskoczą Cię dokładnie tak, jak i mnie zaskoczyły moje.



Spodziewaj się refrenu na końcu każdego z rozdziałów.
Wracaj do niego, kiedy utkniesz. Interpretuj na nowo, kiedy
zechcesz wrócić do tej lektury.

Podziel się ze mną spostrzeżeniami (jeżeli zechcesz) i śmiało
pisz na adres ksiazka@oplotki.pl.

Choć do mądrości babci jeszcze mi daleko, mam wrażenie,
że tym tekstem podtrzymuję pewną ceną tradycję.

Mówienia wprost, jak jest.

Dawania sobie nawzajem mocy.

Wspólnego odzierania (się) ze złudzeń.

Potęgę spotkania kobiecego kręgu serwuję Ci jednak w nieco
unowocześnionej formule.

Zapraszam Cię na to spotkanie.

Zapraszam Cię na „Darcie pierza 2.0”.

Zapraszam Cię na wspólne PLOTKI przy oplataniu.

Zapraszam Cię na (O)PLOTKI.

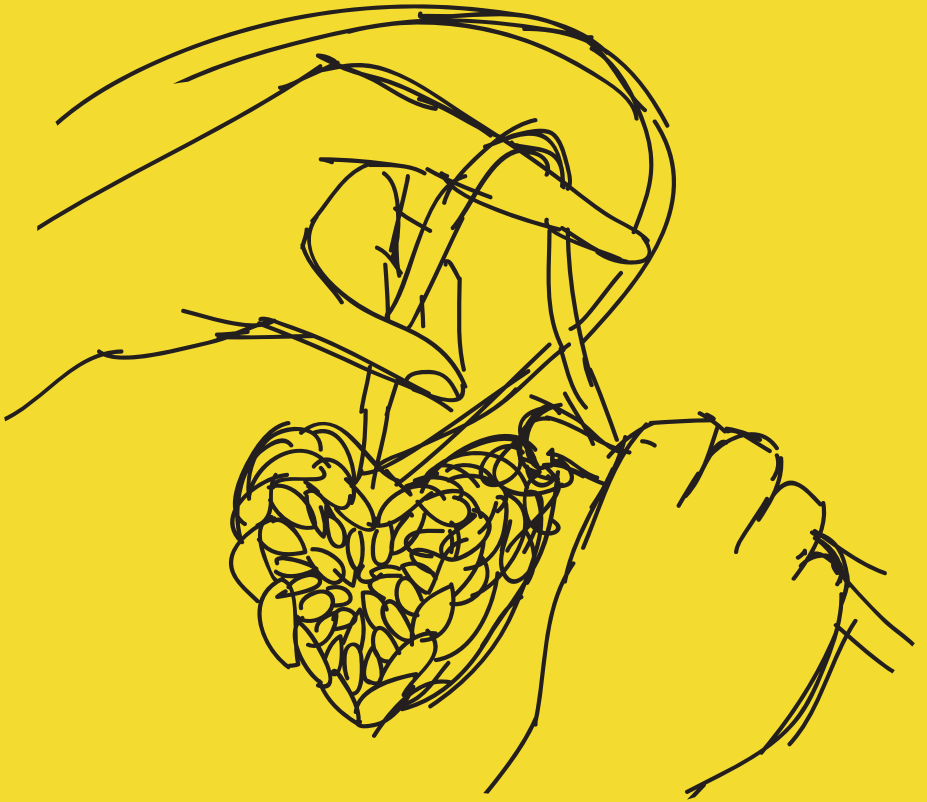
Agnieszka



spis treści

| | | |
|-----|--|-----|
| | <i>O... ode mnie</i> | 9 |
| 1. | <i>O... tej jednej chwili, która zmieniła wszystko</i> | 13 |
| 2. | <i>O... tych fajniejszych kolorach sznurka... ...czyli macierzyństwo w momentach, kiedy jest fajnie na autopilocie</i> | 27 |
| 3. | <i>O... rozplątaniu starych supeteków... ...i zaplątanych nowych motkach myśli</i> | 33 |
| 4. | <i>O... władaniu szydełkiem... ...czyli jak szydełkowe sabaty wyszły z domu</i> | 41 |
| 5. | <i>O... trudniejszych schematach... ...bez autokamufażu</i> | 47 |
| 6. | <i>O... wyjściach... ...szydła z worka też</i> | 59 |
| 7. | <i>O... patchworkowej metodzie na pewną szydełkową pracę</i> | 73 |
| 8. | <i>O... nowych technikach... ...czyli dzieląc się, pomnożysz</i> | 81 |
| 9. | <i>O... zamianie szydełka na druty</i> | 89 |
| 10. | <i>O... nowych schematach... ...i nie zawsze kolorowych włóczkach</i> | 97 |
| 11. | <i>O... dzierganiu razem... ...i osobno</i> | 111 |

- 
12. *O... kasie na włóczki...* 117
...rasowe wełny i skrzypiące akryle
 13. *O... „Darciu pierza 2.0”* 125
 14. *O... najbardziej skomplikowanej robótce,* 133
jakaś dotychczas dziergałam
 15. *O... dzierganiu bez schematu...* 143
...albo poza dawnymi schematami
 16. *O... moich włóczkach...* 153
...całkiem fajne kolory znalazłam gdzieś tam na dnie
 17. *O... tych momentach, kiedy odkładasz robótkę na dno szafy...* 161
...i o innych, kiedy znowu po nią sięgasz z nową energią
 18. *O... dzierganiu dla niedziergających...* 169
...i niedzierganiu dla dziergających
 19. *O... nierównych robótkach* 177
 20. *O... pruciu...* 185
...i dzierganiu od nowa
 21. *O... innych technikach...* 193
...bo nie samym szydełkowaniem człowiek żyje
 22. *O... rrrrety!* 201



O... ode mnie

MIAŁO BYĆ
DO BÓLU SZCZERZE. MIAŁO BYĆ KRÓTKO,
ZWIĘŻLE I NA TEMAT. MIAŁO BYĆ TAK, JAK
SAMĄ CHCIAŁABYM, ABY DO MNIE PISANO.
IM DŁUŻEJ O TEJ KSIĄŻCE MYŚLAŁAM, TYM
ZESTAW POPRZECZEK DO PRZESKOCZENIA
POSZERZAŁ SIĘ O NOWE
„MIAŁO BYĆ”.

10

Zaczęłam więc (w końcu) pisać.

To nie... (za szczerze).

To nie... (bo będzie za długo).

*To nie... (skoro sama omijam ten akapit, po co ktokolwiek
inny miałby go czytać).*

*Niewątpliwie im dłużej pisałam, tym bardziej autocenzura
pochłaniała smakowite detale. W pewnym momencie po
prostu powiedziałam STOP. W końcu ta książka nie ma
być ładna, grzeczna i dla każdego.*

Chodzi o podzielenie się z Tobą pewną prawdą. Może Twoje spojrzenie na świat jest zupełnie inne. Może nie zgodzisz się ze mną w milionie miejsc. Ale wiesz co? To będzie znaczyło, że obie damy sobie prawo do szczerości.

Napisałam tę książkę, bo sama wpasowuję się wciąż w schematy. Na Facebooku piszę lekkie posty. Na Instagramie wrzucam ładne fotki. W blogowych wpisach daję wartości „pod korek”. Na YouTube nie wrzucę filmu bez makijażu, a podcast staram się nagrywać w ciszy i przynajmniej z minimalnym skryptom przed nosem. Na dodatek z armią niezastąpionych pomocników i pomocniczek, tworzących Oplotkowy zespół.

Zapraǳnęłam znówu – tak po prostu – napisać „od człowieka dla człowieka”. Bezpośrednio. Bez konwencji i schematów.

Poczułam, że w końcu mam w sobie odwagę, żeby opowiedzieć Ci moją historię. Bez udawania. Bez upiększania. Bez sprzedawania. Prosto z mostu. Bezpośrednio – taka, jaka jest. Nie omijając momentów zwątpienia i zagubienia.

Ale też... nie przemilczęć chwil triumfu i pewności siebie. Pogodzić się z porządkiem i z bałaganem. Z niewyspaniem i nieumytą podłogą. Dlatego właśnie napisałam tę książkę.

Zapraszam Cię do zanurzenia się w poplątanym świecie mięciutkich włóček, twórczych rozmów i (szydełkowych) wzorów na (własną) codzienność.

Rodzina. Praca. Dom.

Ambicje i cele.

Cenne porażki i jeszcze większe małe zwycięstwa.

Agnieszka



ROZDZIAŁ 1

O... tej jednej
chwili, która
zmieniła wszystko

Milion kawałków karoserii i ciał na poboczu drogi S5. Ten makabryczny obraz przemknął mi przez głowę i w ułamku sekundy zdyscyplinowałam się, odrzuciłam wizję, aby zacząć w głowie układać listę zakupów na obiad.

Szybki rzut oka na zegarek. Dobrze. Jeszcze tylko dwadzieścia minut przesypywania piasku, pięć minut na scenę ryku („nieee, mam, jeszcze pięć minut!”), potem pięć minut na rzezone „jeszcze pięć minut”. Kolejne siedem minut do sklepu (idealnie w porze drzemki w wózku) – pędzę po siaty sałaty, marchewek i kaszy jaglanej do warzywniaka. Po drodze wstępuję do mięsnego. Albo nie, jednak odpuszczam, przecież postanowiliśmy być wege, więc nie wstąpię.

Dobrze, jeszcze tylko przetrwać te dwadzieścia minut.

Uśmiecham się do rozmówczyni.

Porywająca dyskusja na temat bostonki w żłobku i legend o wszawicy. Jak dobrze, że już postanowiłam nie oddawać córki do przedszkola, skoro jest nieobowiązkowe. Czuję się jakaś taka heroicznie lepsza, bo nie idę na łatwiznę. Nie oddaję dziecka do placówki, tylko sama ogarniam dwudaniowe obiady zgodne z dietetycznymi trendami dla dzieci.

Niani też nie mam – no w życiu!

Jak widzę tę babkę przeglądającą posty na Facebooku, podczas gdy jej podopieczna gmera w mokrym błocie, a gile z nosa wiszą jej do kolan... skręca mnie na myśl, że miałabym komukolwiek powierzyć opiekę nad moim skarbem. I jeszcze bardziej mnie skręca, kiedy pomyślę, że miałabym za taką opiekę płacić.

Dobrze, że na placu **spotykam też te nieinstaaidealne mamy.** Z nimi da się jakoś porozmawiać o naszej mamorzeczywistości bez zbędnego udawania.

I nagle... moment magii.



Widzę ją.

Nie znam jej osobiście. Nie mam pojęcia, jak ma na imię. Jednak widywałam ją niemalże każdego dnia na placu zabaw przez jakieś pół roku, zanim przeprowadzili się z naszego osiedla do domku. Tak przynajmniej mówiła plotka, nieważne.

Piękna. Spokojna. Niby ani wysoka, ani szczupła, ale jakaś taka smukła.

Powabna.

O, to jest dobre słowo.

Taka wyprostowana, pewna siebie, z delikatnym makijażem, starannie zaplecionym warkoczem (zero siwych włosów!). Niemłoda, ale zmarszczki jakieś takie dobre, poczciwe, wyrzeźbione szczerym uśmiechem. Zawsze z innymi kolczykami. Zawsze z dwójką dzieci (Jezu, jak ona to robi?! Ja z jednym ledwo zipię, a tu bliźniaki!). Rasowy but. Designerska kiecka albo przynajmniej spodnie plus uprasowana koszula (zero brudnych dziecięcych łapek w okolicy dekoltu). Trochę nieobecna. Ciągle gmerająca w torebce i zapisująca jakąś umykającą myśl w notesie we flamingi i ananasy (porysowanym gryzmołami któregoś z maluchów) pięknym pisakiem do bullet journalingu.

Fajna babka. Nie, nie ta, którą moja pierworodna rozwaliła w piaskownicy i znowu muszę naprawiać, deklamując: „Babko, babko, udaj się, bo jak nie, to cię zjem”. Ta druga, ta powabna babka. Jedyna na placu zabaw, z którą udaje się pogadać o czymś więcej niż kolor kupy w pampersie (o, pardon – w wielorazowej ekopieluszcze) i nietolerancji pokarmowej na pszenicę (wyszło na ostatnim biorezonansie). Dieta bezglutenowa na czasie, to dobrze się składa. No i o wszawicy w żłobku (to *ice-breaker*, pewniak na ławce koło piaskownicy).

Taka babka jest inna. Taka wyluzowana.

Potrafi mówić godzinami o programowaniu. Choć nie rozumiem nic z tego jej JavaScriptu, to słucham pasji w głosie jak symfonii. Jest tak pozytywna, że nie rusza jej nawet miauczący na rękach dwulatek. (Jak się cieszę, że moja mała ma dwugodzinne drzemki – jej bliźniaki śpią tylko czterdzieści minut). Uśmiecha się dużo, ale tak naturalnie i (świadomie lub nie) wlewa we mnie kojący balsam „lepszego świata”. Takiego spoza macierzyństwa.

Irracjonalnie tęsknię za jej towarzystwem.

Nasze dzieciaki się lubią, ale jej bywają na placu najczęściej w ramach żłobkowego spacerku. Swoją drogą, to dla mnie zagadka – dlaczego od czasu do czasu, tak po prostu, bywa na placu z nimi w środku tygodnia, skoro są zdrowe i teoretycznie powinny być w żłobku?

O rety – już ta godzina!!! Znowu się zamyśliłam. Wracam do domu. Mała jeszcze kima, więc zdążę nawet dwudaniowy obiad trzasnąć. Może przeproszę kilka koszulek. Podłogę na pewno też zdążę przetrzeć. Bełtając w pomidorówce, łapię się na tym, że myśli znowu uciekają do wczorajszej nocy. Bezsennej.

Przed oczami ciągle te emocje, kiedy wyrwana z jakiegoś ułamka półsnu, około dwudziestej, ocknęłam się na poboczu. Było tak niebezpiecznie blisko... do miliona kawałków karoserii i ciał obok jezdni. To był znak. Ostrzeżenie. Nie da się mieć wszystkiego naraz.

Nie da się być właścicielką biura architektonicznego, która co tydzień pędzi na konsultację projektu do klienta na drugim końcu Polski, zahaczając po drodze o dom mamy, jakieś sto kilometrów od Poznania (bo przecież jaka niania, jaki żłobek? Dla mej pierworodnej jedyna słuszna opieka to JA, ewentualnie raz na dwa tygodnie babcia).

Nie da się nocami klikać kreseczek na rzutach i przekrojach wnętrza biurowego, nie da się wypełniać w skrajnym zmęczeniu drzemek dziecka zaległymi telefonami do klienta. Nie da się być





jednocześnie eko-bio-wege-insta mamą z wycaczanym wnętrzem, pełnym najnowszych książeczek sensorycznych, wyszukiwanych godzinami na niszowych blogach parentingowych.



Niby gdzieś w środku czułam zgrzyt, ale nie, mama na pewno nie ma racji. Przecież nie będę wybierać! **Właśnie że będę supermatką i właścicielką firmy. Jednocześnie!** Co? Ja nie dam rady?! JA?!

jechałam jak zawsze – ostrożnie, nie za szybko, z muzyką sączącą się z radia. Pamiętam, że odhaczałam w głowie niekończącą się listę zadań.

Śniadanie – było. (Trzeba je zjeść. W końcu to najważniejszy posiłek dnia. Granola. Samodzielnie wypieczona. Kawy nie. Bo przy karmieniu to podobno niezdrowo. Nawet jak tak błogo pachnie...)

Posprzątane po – było. (Podłoga numer jeden, blaty i przy okazji małe łapki i buzia – zero mokrych chusteczek, bo przecież takie rakotwórcze, nie eko i zawalają śmietnik. Tylko tetrowe pieluszki. Osobne do buzi, osobne do rączek, osobne do podłogi. Byłe nie pomylić).

Maluda wystrojona i zapakowana do babci – było. (Najlepsze ciuszki, pieluszki jak na weekend, bo mama przebiera po każdej kropelce siku. Milion śliniaczków, bo muszą być ciągle czyściutki pod buzią. Tona zabawek „w razie czego”).

Milion rzeczy, które miałam mamie powiedzieć, przekazać, oddać, przywieźć – było. (Jakieś bułeczki z naszej piekarni przywożę, kosmetyki zamawiam przez neta, coś tam z Poznania dostarczam, bo w tej małej mieścinie nie uświadczysz. Zawsze coś pilnego się znalazło. Tuzin telefonów trzeba wymienić przed wyprawą).

U klienta – było. Tutaj osobna podlista: przeanalizować problematyczne punkty w projekcie wnętrza biurowego, uzgodnić, czy mamy budżet na zaproponowane rozwiązania, czy szukamy tańszych zamienników. Ruszamy dalej z projektem, czy czekamy na brakujące wyceny? Czy... Czy... Czy... Czy już możemy kończyć, bo muszę jechać po dziecko, żeby dojechać przed północą do Poznania? W końcu żarciki i prywatne historyjki szefa firmy nie wymagają mojej obecności.

Znowu u mamy – było. (Szczegółowy raport: co też wnusia jadła, dotykała, robiła, jak się bawiła i dlaczego znowu robię coś totalnie nie tak. Do tego informacja, jak jest dla dzieci najlepiej. Zaliczenie drugiego obiadu – „No jak to? Mojego obiadu nie zjesz?” – choć już dawno po kolacji... i pouczające: „Dziecko już śpi, na pewno nie zostaniesz u nas na noc? Dlaczego tak ją przenosisz i wybijasz ze snu?”.

Nareszcie w drodze do domu. No właśnie...

Chyba gdzieś pomiędzy analizowaniem, co z auta absolutnie



MUSZĘ zabrać do domu wieczorem (na jednej ręce śpiąca mała, druga ma ograniczoną pojemność, a przecież jakoś auto trzeba zamknąć i odkluczyć drzwi do mieszkania), a myślą o drzemce musiałam odpłynąć, marząc o tym, że łóżko już taaaak blisko...

Nagły pisk, przerażający dźwięk klaksonu, oślepiające światła i ułamek sekundy, w którym zawarł się duży strach, dezorientacja, zamrożone momenty z całego mojego dotychczasowego życia, jakieś mgliste wizje rodzinnej przeszłości i kumulacja emocji, uderzających z taką siłą, że poczułam tylko ukłucie w sercu i ścisk w żołądku.

Krzaczaste pobocze. Tir pojechał dalej. Mała śpi w foteliku, jakby nigdy nic. Cała się trzęsę. Nie pamiętam nic przed. Nie wiem, dokąd jadę, po co... I co się właściwie stało.

W bezruchu, zdębiała, ogłuszona, oślepiąca zaczynam odzyskiwać w miarę normalne myślenie. Dociera do mnie, że niemal roztrzaskałam siebie i śpiące dziecko na masce innego auta. Co za matka! Choć nie wiedziałam jak, zebrałam się w sobie. To uczucie było tak surrealistyczne. Takie sceny dzieją się przecież tylko w filmach. Nie przydarzają się zwykłym ludziom, prawda?

Zmobilizowałam się do działania. Małymi krokami. Najpierw jedna ręka na kierownicę. Potem druga. Zdrętwiałe nogi na pedały sprzęgła i gazu. Który powinnam wcisnąć pierwszy?! Ruszyłam. Na drodze było puściutko. W mojej głowie też. Głos z nawigacji (podobno to wcale nie Hołowczyc) kierował mną jak pacynką. Ostatni skręt w prawo. Znajoma ulica. Garaż. Uff...

Dopiero wysiadając z samochodu, zauważyłam, że mam mokre plecy. Czarna dopasowana kiecka nie zdradzała co prawda śladu, ale poczułam zimno na plecach i nieprzyjemny dreszcz. Zostawiłam okulary w aucie. Wypadły z wyciąganej jedną ręką torebki. Razem z resztkami kanapek, bidonem, pudrem, notesem i piórem. Cholera! Otworzyło się. Znowu. Trudno. Nie mam siły już wracać do garażu. Teczka z rysunkami i laptop też zostały. Jacek znowu będzie marudził, że kuszę złodziei. Trudno.



1 / O... TEJ JEDNEJ CHWILI, KTÓRA ZMIENIŁA WSZYSTKO



Winda. Oby mała tylko się nie obudziła. Dźwięki w środku są bardzo głośne, za głośne. Dobra, wybieram schody. Błagam, nie obudź się. Nie dam rady godzinę cię nosić, myszko. Kolana drżą. Idę krok za krokiem. Prawa noga, lewa noga. Małe krocзки. Schodek pierwszy, drugi, trzeci, czwarty... Rety, po co liczę?! Nie potknij się, nie z małą na ramieniu i rzeczami w każdym palcu drugiej dłoni!

Drzwi. Klucz. Nie ten, fuck! Właściwy. Spadły na podłogę! Rety... Nie schylaj się! Skrzywienie kręgosłupa! Kucaj! Jeszcze raz. Łapię małym palcem. Mam klucz – ten właściwy z całego pęku. Jesteśmy w środku.

Ciemno. Jacek pochrapuje. Maluda do łóżeczka. Zmyć makijaż. Bo cera się niszczy.

Odhaczam kolejne punkty. Nie przekluczyłam drzwi na noc. Nawet tego nie odnotowałam. Nigdy mi się to wcześniej nie zdarzyło (Jacek nie omieszkał zwrócić mi uprzejmie uwagi na tę nieroztropność rano). I już sufityję koło pochrapującego męża. Na szczęście nie zauważył, że wróciłam grubo dwie godziny później niż zwykle. Chyba „pędziłam” w tempie trzydzieści kilometrów na godzinę na tym przedziwnym autopilocie...

Znak „prawie-się-roztrzaskałam-na-drodze” mną wstrząsnął. Długo rozważałam wszystkie za i przeciw (adrenalina i wdzięczność, że nie rozwaliłam sobie i śpiącej w foteliku córki na masce roztrąbionego tira, nie pozwoliły mi zasnąć). Rozmyślałam całą noc. I wybrałam. Koniec aktywności architektonicznej. No dobra, firmy nie zamknę, ale klientów oddam koleżankom po fachu. Wybieram rolę mamy. Tym razem bez oszukiwania i bez ucieczek mentalnych w obszar pracy w czasie każdej drzemki.

Decyzja zapadła. Nieodwołalnie. Trochę mi smutno. Zrzucam to jednak na niewyspanie. Zahartowana nocnym karmieniem piersią niby miałam wprawę, jednak po tirowym klaksonie nie było nawet mowy o godzinnym półśnie. A, no i byłam przed... Oż! Zapomniałam kupić podpaski. Trzeba iść jeszcze raz do



sklepu. No tak. Zbyt gładko dziś wszystko szło. Zbyt łatwo, tak „na czas”. No to przecież musiałam o czymś zapomnieć! Byłoby zbyt pięknie. Ale zaraz, zaraz... Przecież okres powinnam dostać dziewięć dni temu... Ciągłe zmęczenie, deficyt snu (no dobra, karmię maludę, ale ostatnio bardziej niż zwykle odczuwałam niedosyt poduszki), spadek nastroju... Rety! Przecież to klasyka pierwszego trymestru...

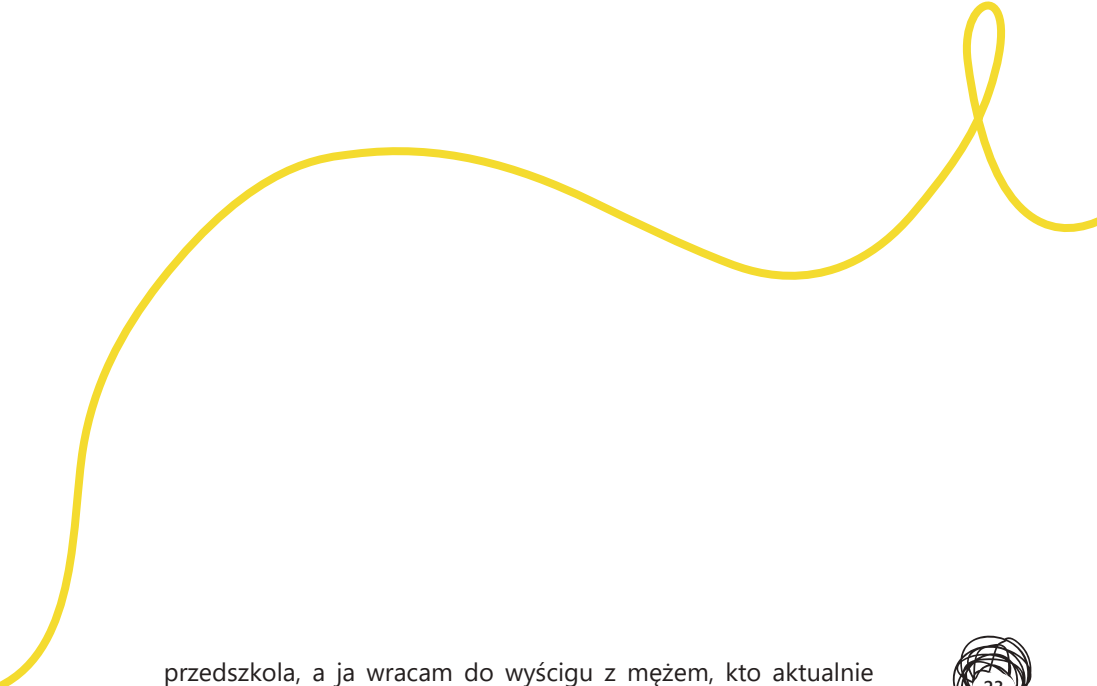
Skorzystałam z tego, że latorośl ciągle jeszcze pochrapywała w wózku, i wyszłam razem z nią. Tylko zamiast do sklepiku na rogu, to do apteki. Po test.

Pozytywny. To kolejny znak. Poczułam, że w nocy podjęłam słuszną decyzję. Teraz, kiedy na świat pcha się kolejne dzieciątko, doba jeszcze bardziej się skurczy. Zrozumiałam, dlaczego przysnęłam za kierownicą... To były senne objawy pierwszego trymestru. (Nie miałam nudności, zero wymiotów i kolosalne zmęczenie. Myślałam, że to z powodu pracy i nieprzespanych nocy. Nic nie podejrzewałam). Gdzieś ktoś nad nami czuwał. Dziękowałam z całego serca.

Przypaliłam tę pomidorową. Trochę za długo gapiłam się na dwie kreseczki. Na szczęście jako rasowa mama miałam w zamrażarce rezerwę. Zdążyłam podgrzać i przestudzić, żeby podzemkową marudę dokarmić. Miała być zabawa na dywanie, ale natłok myśli wygonił nas na spacer.

Po drodze omijałam plac zabaw szerokim łukiem. Na samą myśl o kolejnych trzech latach w macierzyńskim lukrze zapadłam się w sobie. No i chciałam najpierw Jackowi o teście powiedzieć, a nie przypadkowym koleżankom. Znam siebie. Co w sercu, to na języku. Utrzymanie czegoś w tajemnicy nie jest moją mocną stroną. Niby cieszyłam się bezbrzeżnie (uwielbiam być w ciąży, hormony sprawiają, że kwitnę – takie trochę eldorado endorfin, żeby nabrać sił na potem), ale jednocześnie pojawił się irracjonalny strach. Czy sobie z tym poradzę? Niby planowaliśmy, ale kiedy się nie udało po roku, odpuściliśmy starania. Powoli oswajałam się z myślą, że jeszcze dwa lata i mała pójdzie do





przedszkola, a ja wracam do wyścigu z mężem, kto aktualnie lepiej wychodzi na projektowaniu (ja architektonicznym czy on drogowym). A tu kolejny raz zaczynam wyścig od trzech lat macierzyńskiego „stania w miejscu zawodowo” albo raczej posuwania się architektonicznie „do tyłu”. Mogę co najwyżej o nagrody pocieszenia zawalczyć zawodowo.

Na placu mignęły mi tylko marudzące mamuśki (te, których zawsze unikam, bo wysysają ze mnie resztki energii, a mini problemy pompują do rozmiarów katastrof roku). Obiecałam sobie, że nie dołączę do tego chóru. Jeszcze nie wiedziałam jak, ale nie pozwolę, aby dzieci poniosły konsekwencje moich wiecznych narzekań na codzienność.

Pomyślałam sobie o powabnej babeczce z placu zabaw. Fajna kobieta. Ma życie. W sensie poza macierzyństwem. Pozazdrościłam, z poczuciem tęsknoty za dawnymi czasami sprzed dzieci. Fajne rozmowy, dużo znajomych, masa podróży, bogactwo różnorodności. Skarciłam się. Przecież marzyłam o macierzyństwie. Jestem szczęśliwa. O co mi chodzi?!



jednym słowem

Odciełam kawałek poplątanej włóczki.

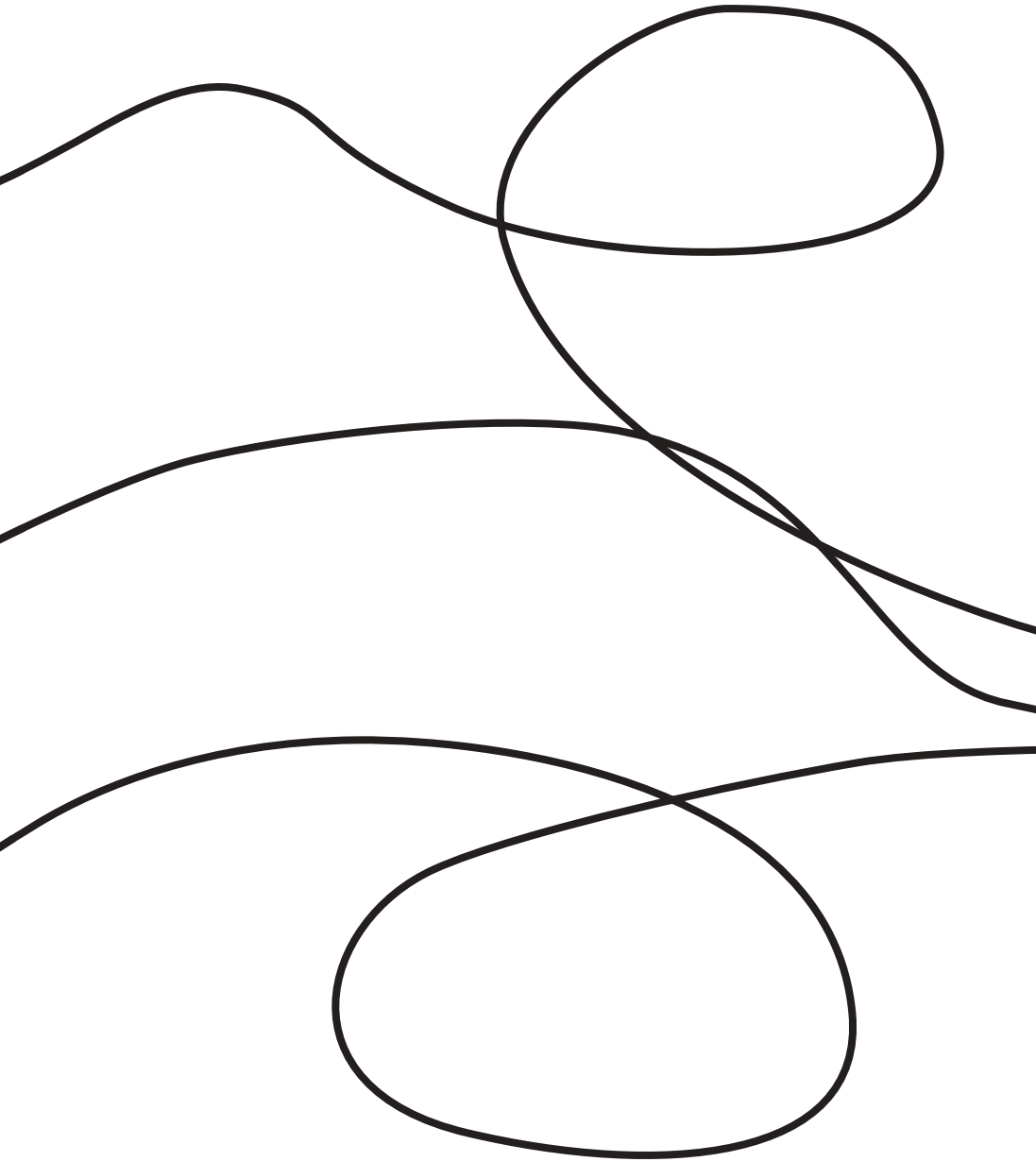
a dokładniej

*A może nie odciełam, tylko odłożyłam i z ciekawością sięgnęłam
po nową... mięciutką... niepoplątaną.*

zawikłość

*Czy mogę tak po prostu wybrać?
A może to tylko tak „na chwilę”?*







ROZDZIAŁ 2

O... tych fajniejszych
kolorach sznurka...

czyli macierzyństwo w momentach,
kiedy jest fajnie
na autopilocie



Kolejny dzień świstaka.

Pewnie powinnam zacząć od budzika, ale po co. Pierworodna skutecznie wyrywa mnie ze snu przed świtem. Jeszcze nie mówi, ale potrafi klepnąć w twarz, bo wie, że to działa lepiej niż wtulanie. To drugie akurat ma odwrotny skutek.

No to wstaję. Przez mgłę zaspanych oczu coraz wyraźniej przebija się przeciekająca pielucha. Słysząc cichy szum wody w łazience. Jacek już po treningu. Nawet tutaj wygrywa. Nie pamiętam, kiedy cokolwiek ćwiczyłam. Kto by miał na to siłę... Wmawiam sobie, że dzisiejsze cztery rundki mycia podłogi to taka prawie ashtanga joga. Prawie. Grzeję wodę (o, niech spłynie zimna! Powinna lecieć ciepła, kurczę, skoro pod prysznicem już tapła się Jacek). O, jest. Nalewam letnią wodę do miseczki. Maczam waciki (te bawełniane, wielorazowe *less waste*, są w praniu – muszę sięgnąć po awaryjne jednorazówki, więc dopadają mnie kolejne wyrzuty sumienia, znowu nawaliłam) i obmywam pupę.

Nim zdążyłam ogarnąć pieluchową awarię i ubieranie znienawidzonych (przez pierworodną) kapci, naczynia z jackowego śniadania już zdążyły wylądować w zlewie. Gdzie on się tak spieszy? Przecież cały dzień płynie taak wolno... Wspólne śniadanie by go nie zabiło. Dzisiaj zdążyłam chociaż z „też Cię Kocham”, zanim wskoczył na rower do pracy. No to zawijam te sreberka... Oż! Nie zabrał śniadania. Już dzwoni. Pewnie, że zniosę.

Epizod porannego sprzątania po ciamkaniu latorośli można spokojnie zakończyć pierwszą rundką z podłogową ściereczką. Przecież edukacyjne książeczki, zajęcia umuzykalniające, sensoryka i inne dziecięce plastyki czekają. Co też tam w grafiku na dziś? Ha! Odetchnęłam z ulgą. Dziś basen. Nie, nie taki zwyczajny. Oczywiście musiał być na największych termach w Poznaniu, w najpopularniejszej szkole pływackiej, z najbardziej doświadczonym instruktorem – specem od niemowlęcego oswajania z wodą. Co? Ja nie dam mojemu dziecku tego, co naj, naj, najlepsze?!

Uwielbiam, bo w końcu jest tam też coś dla mnie. Wzorowo odhaczam nurki z maludą, bo przecież przed i po można po prostu pogadać. Basenowe mamy jakieś takie fit i energiczne. Z własnym życiem (poza placem zabaw). Fajnie powspominać mój zawód. Z architektką chętnie gadają. W końcu większość właśnie zakredytowała się w wymarzonym gniazdku i ogarnia malutki pokoik. **Mówią moim językiem – pierworodno-dzieciową, mamoparentingową, egzaltowaną nowomową.**

Pływamy z maluchami. No i odpływam. W chlorowanej wodzie jest trochę tak jak w pościeli. Relaksująco. Tylko przetrwać ten zziębnięty ryk po wyjściu z wody, a nadejdzie epizod długiej dziecięcej drzemki z moją ukochaną szydełkową rozkminą nowego wzoru.

Maluda zasypia w aucie. Zazwyczaj daje się przełożyć do łóżeczka i śpi kamiennie minimum dobrą godzinę.



Końcówka dzierganego dywanu, a potem biorę się za dekoracyjne poduchy. Będą „poddupniki” na klockowe posiedzenia. Nie mogę się doczekać, kiedy Lena dorośnie do odziedziczonych zestawów klocków Lego. Wtedy na pewno chętniej poskładam z nią te domeczki. Duplo to jednak nie moja skala. Cenzuruję jeszcze koszyczek zabawkowy, usuwając nieedukacyjne i słabe designersko jednostki. Odkładam je na dno takiego pojemnika w szafie, który ogląda światło dzienne tylko w czasie naprawdę deszczowych, długich dni.

Można siadać do dziergania. Uff.



jednym słowem

Da się znaleźć coś dla siebie.

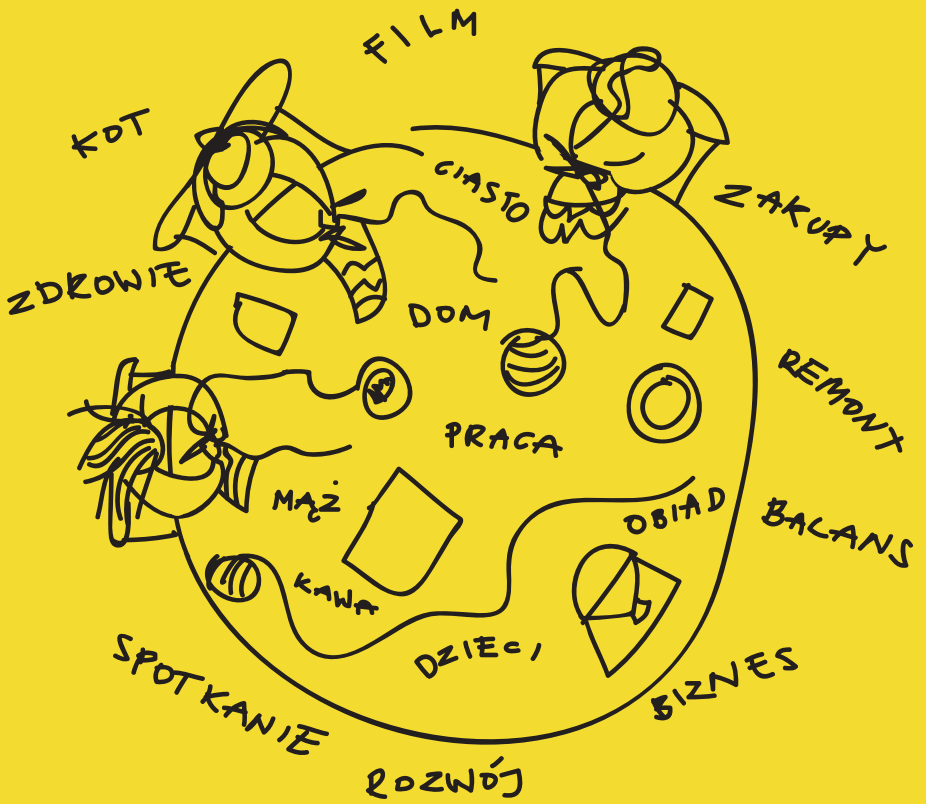
w skrócie

Włóczki w dłoń, ulubiony basen... tylko z dzieckiem na ręku.
Niedoczas na zbędne roztrząsanie, czy indygo wolę od turkusku.
U Jacka to i tak wszystko „niebieski”.

zawiłość

Przykładam indygo do turkusku godzinami... tylko po to,
żeby ktoś stwierdził, że oba tak samo niebieskie?
A może to nie kwestia koloru?
Może to kwestia tego, kto na niego patrzy?





ROZDZIAŁ 3

O... rozplatywaniu
starych supeteków
i zaplatanych nowych
motkach myśli

A co, gdyby babcia jednak wyrzuciła te włóczki przed świętami?!

Wracam wspomnieniem do naszego przedświątecznego nalotu na rodzinny dom. Maluszek skutecznie odrywał (moją) babcię od konkurowania z Perfekcyjną Panią Domu i przyklejał do wózka. Udało się tego roku nie przypłacić przedświątecznego mycia podłóg szpitalem. Nieidealnie (według babci, choć ja bym tak nie umiała) umyła je moja mama. Po wnikliwej kontroli babcia zaliczyła nam to zadanie i dała zielone światło do lepienia barszczowych uszek (co tam, że od lat mieszkaliśmy rodzinnie na Kujawach – śląska Wigilia nie może się obyć bez barszczu!). Babcia lulała małą w wózku. Nie miałam serca jej powiedzieć, że maluda śpi już od dwudziestu minut i nie trzeba. Wczuła się w „misję”. Nie zdążyłam tylko z szafami.

Tydzień wcześniej, na pokazie cudów dostępnych tylko tu i teraz, babcia oddała rencinę (i kilka kolejnych) na cudowną wełnianą kołdrę (i gratisowy ekspres do kawy). Pewnie do dzisiaj biczowałabym się, że trzeba było jeszcze wcześniej zjechać na święta (żeby ją ustrzec), gdyby nie fakt, że rozmiar nowej kołdry zmusił ją do zrobienia czystki w przepastnej dziadkowej szafie.

Babcia znalazła wtedy skarby, z których utkałam wspomnienia dzieciństwa.

Pierwsze krzyżkowe podboje (bardziej projektowanie wzorów – kiedy odkryłam, że można do tego użyć kartek w kratkę, na których piszą „dorosłe” dzieci z czwartej klasy – niż skala detalicznego haftu krzyżkowego). Koronki wydziergane przez wprawiające się paluszki, a także szydełka, druty, igły, nici, domki dla lalek i ich mebelki, kołderki, szyte ręcznie ciuszki dla lalek w malutkich szafach... Magiczne godziny eksplozji dziecięcej kreatywności, podczas których pracowałam w skupieniu, przygryzając język.

„Chcesz, czy wyrzucać? Bo kołdra się nie mieści! W markecie to teraz takie piękne kocyki są, kto by to dziergał ręcznie w dzisiejszych czasach... Raczej się już nikomu nie przyda...”.



Coś tam jeszcze marudziła na czasy, kiedy za dolary trzeba było i w Peweksie te akryle, ale ja już wyłączyłam fonię. Słyszałam tylko delikatne pukania drutu o drut, symfonię dźwięku płótna przebijanego igłą, a także tykający głośno zegar. Wspomnienia, niczym wehikuł czasu, zabrały mnie do nieskrępowanej kreatywnej ekspresji. Pierwsze narzędzia szalonej twórczości. W moich rękach. Znowu.

Ocknęłam się z zamyślenia, słysząc pojękiwanie w wózku. Uff... Na szczęście tylko coś jej się śniło. Mam jeszcze jakąś godzinę. Włączam podcast. Sięgam po bawełniany sznurek. I dzieje się magia. Magia zaklęta w powtarzalnych ruchach dłoni. Słupek po słupku. Jeszcze jakieś dwa kilometry i bawełniany maraton dziergania dywanu dobiegnie do mety. A raczej na podłogę koło łóżeczka. Zdążę ją jeszcze umyć. I obiad wstawić. Po zabawie na placu skoczę do sklepu po makaron dla Jacka (kurczę, mógłby kupić po drodze z pracy, ale dzisiaj znowu pojechał rowerem, to mu ciężko będzie – ja kupię, przecież i tak idę).

Maluda jeszcze śpi, to poszperam w sieci. O! Instamama dodała kolejną piękną fotkę. Te śpioszki musimy mieć! Po prostu bez nich ani rusz. Wzór piękny, doszukałabym się symetrii w tych trójkącikach. Ciekawe, czy o to chodziło projektantce wzoru. Promujmy ją. Koniecznie. „Już mamunia idzie... Tylko przeleję pani, żeby paczka do nas przed weekendem dotarła”.

Poobiednia podłoga numer dwa umyta. Możemy śmigać na spacer. Wchłoniliśmy trochę osiedlowych plotek, dowiemy się, co jeszcze robimy nie tak według najnowszych parentingowych mądrości, i wrócimy do czyściutkiego domku. Dopiszę ten makaron do listy zakupowej. Bo znowu zapomnę. Może jakieś warzywa świeże będą? Przecież dwadzieścia minut po dostawie to powinni mieć najlepsze kąski. Dobrze, że zapisałam te godziny dostaw w telefonie. (Czasem mi się środa z czwartkiem myliła i trzeba było zrobić dodatkowy spacer w oczekiwaniu).

Dzwoni telefon.



– No pewnie, że wpadaj! I tak ciasto piekę. Marchewkowe! Poważnie?! Przecież to superproste. Nic nie kupuj. Szydełek i sznurka mam tyle, że pół miasta bym obdzieliła!

Kompulsywny włóczkowy shopping poupychałam w szafach, do których Jacek nie zagląda, żeby nie brzęczał. On nie zna prawdziwej wartości wełny z merynosa w ukochanym granacie. No taka promka! Dobrze, że wiosna przyszła i zimowe materiały za bezcen puszczają! Wpadnie kumpela po fachu. Jak dobrze będzie posłuchać plotek z architektonicznego świata, także tych o rzutach, przekrojach i marudzących klientach. Tylko jakie ciasto ja teraz zrobię w pięćdziesiąt minut?

Na placu dostaję podpowiedź i gotowy przepis, jak bezglutenowe i antyalergiczne ciasto z biobananów trzasnąć w czterdzieści pięć. Dodam trochę marchewki dla niepoznaki. W końcu obiecałam marchewkowe. Super. Mycie podłogi numer trzy jeszcze wjedzie w odpowiednim czasie. Pędzę więc z placu nieco szybciej niż zwykle. Przecież drzwi nie otworzę w tej fryzurze. Sukieneczka maludy też jeszcze niewyprasowana. Wizyta(cja) rodziców to nie jest, ale jednak zapach ciasta zgrabnie zatuszował przebieganą minutę temu dwójeczkę (bardziej brązowa, notuję w głowie – muszę pamiętać na dyskusję na placu zabaw). Zdążyłam jeszcze zaaranżować klocki w taką symetryczną kupkę. Na „rzut oka niedzieciacych” będzie niczym instafotka. Piękna kompozycja z handmade dodatków i gadżetów. Brzydkie zabawki poszły



do kosza (też szydełkowego). Mała sobie wyciągnie, jak już się zajmujemy dzierganiem.

Odpywam. Wyobraźnia zabiera mnie do (niezdrowo wyidealizowanych) wspomnień z architektury. Godziny klikania kolejnej koncepcji wnętrza w biurze. Fachowe dyskusje z branżystami. Przeglądanie katalogów technologicznych i designerskich nowości... Ech!

Moja gościni narzeka na rutynę (codziennie makijaż, inna kiecka, ale w tym samym stylu, trzeba dopasować buty), a ja besztam ją, żeby doceniała, bo skończy jak ja (też w kiecce, ale tylko wtedy, kiedy wbijają goście) – bez makijażu i w wiecznym dresiku (kiedy tylko wychodzą).

– Jak ty to robisz?! – pyta.

Udaję, że wypucowane mieszkanie z pełzaczem przyklejonym do piersi to pestka. Z uśmiechem na twarzy rozsiadam się na kanapie, choć kątem oka rejestruję kompromitujący plastik. Koleżanka jest mocno *less waste*, a moja mama uparcie przywozi zabawki, które nie są eko. Mała traktuje je potem jak najcenniejsze skarby. Bo od babci. No trudno. Wysypała z dna koszyczka. Zajmie się przynajmniej przez jakieś czternaście minut, a ja wypiję pierwszą ciepłą herbatę w tym tygodniu.

– To nie takie trudne. Dobra organizacja czasu, logistyka level mama – rzucam niby żartem, ale chyba dostrzega cień zmęczenia na mojej twarzy. Ona ma radar na ściemę.

No to dziergamy. Tutaj zawsze widzi moją autentyczną frajdę dzielenia się rękodzielniczym bakcylem. Szydełkujemy. To znaczy – ja pokazuję, koleżanka w zafascynowaniu próbuje. Rejestruję wywalony język. Uśmiecham się w duchu – wiem, że to ten stan skupienia, w którym skutecznie przyswaja się słupki i łańcuszek. Będzie pled do nowego M.

– Jak nauczyć tego kumpelę? – pyta mnie.



Hmm, przecież chyba wszystkie osoby mniej więcej z naszego pokolenia uczyła mama lub babcia. W sieci jest tyle szydełkowych cudów. Przecież szydełkować chyba wszyscy potrafią!

– Wpadnijcie jutro razem. Ciasto jeszcze będzie. Nauczę i twoją kumpelę. Poznam kogoś nowego. Przyda się urozmaicenie dnia świstaka – odpowiadam.

Nazajutrz widzę, jak na twarzy Jacka rysuje się grymas na wieść o wycie koleżanek. Znowu nie wskoczy w dres, tylko pokręci się w koszuli, aż tłumek plotkujących się rozejdzie. Koleżanka zabrała ze sobą trzy chętnie (zamiast jednej) do szydełkowych kompletów. Dzień świstaka z miłym urozmaiceniem (znowu).

Nowe „ciocie” zmęczyły moją latorośl. No dobra, jak się drugi dzień bez kąpieli prześpi, to jej się krzywda nie stanie. Wyczułam moment i pieluchę na noc załadowałam suchutką (po cichu, w łazience, żeby zero waste’owa nie zauważyła, że to rasowy pampers). Mała zasnęła na motkach wełny. Dobrze, że organiczne i z atestami. Może spać bez mojego drżenia o alergię na barwniki. Ona co prawda nie ma alergii na nic, ale ostrożności nigdy za wiele.

Tej nocy spała jak nigdy. Za to ja wcale. Znowu. A może one mają rację? Powinam takie warsztaty robić oficjalnie? Powtarzały mi to dzisiaj już któryś raz z kolei. Nie one pierwsze. Chyba nie umiałabym za to brać pieniędzy. Ale to już jest jakiś sposób na oddech od pieluch! Tylko fajnie, jakbym jeszcze coś na tym zarabiała – Jacek przestałby miauczeć, że sponsoruję te sabaty, a czekolady подарowanej w ramach wdzięczności i tak nie przejemy do przyszłego roku.

Dobra. Postanowione. Powiem, żeby za wełnę i szydełka mi oddały. Zrobię im piękne zestawy materiałów warsztatowych z tego budżetu, bo moje zapasy się kończą. Kupią sobie oficjalnie do domu, zamiast pożyczać na „wieczne nieoddanie” te szydełka i bawełniane sznurki.



jednym słowem

Babcia namotała.

w skrócie

W poplątej włóczce odnalazłam smak dzieciństwa, uwspółcześniłam zaplatanie w kobiecym kręgu, pogmatwanie i poplątanie zaczęło zwiijać się w coraz większy motek.

zawiłość

*Bywałam totalnie poplątana? A może zaplątałam się w codzienności?
Czy czasem po prostu nożyczki powinny iść w ruch?
Czy może cierpliwie rozplątać sznureczek po sznureczku?
Prosić o pomoc czy podłubać samodzielnie?*





ROZDZIAŁ 4

O... władaniu
szydelkiem...
czyli jak szydelkowe
sabaty wyszły z domu
na miasto



Jest afera. Jacek dymi. Widzę te błyskawice w oczach, mimo że uprzejmy uśmiech posyła dziewczynom jeszcze w drzwiach. One właśnie wchodzi. On też.

One po pracy – pełne energii, z myślą o winku przy szydełku. On też po pracy – z wizją dwójki dzieci w malutkim pokoju. W koszuli. No bo jak w dresie, kiedy one takie odświętne. Wiem, że będzie kolejna, pełna wyrzutów rozmowa. Ja – że mi się należy, bo zwariuję, nim wieczorne mycie podłogi zrobię (mycie numer cztery). On – że to rękodzielnicze hobby włoży nam na głowę (czytaj: jemu, bo ja to akurat uwielbiam) i że robię z domu centrum kultury (Jacek czyta tylko instrukcje nowych trenerów i premiery butów do biegania. Nocne dyskusje o nowych powieściach kryminalnych czy biografiami podczas naszych szydełkowych wieczorów niekoniecznie go kręcą, a dyskusje o wyższości wełny merynosa nad rodzimą alpaka... jeszcze mniej).

Dziś jest jednak inaczej. Zebrał się w sobie. Grzecznie, ale rzeczowo – do nas wszystkich, długo po tym momencie, kiedy chciał już to zrobić. Wkracza. Mówi. Surreal. Niby w domowym salonie, ale jak na scenie. Wszystkie oczy na niego.

– Dziewczyny, weźcie wy te wasze warsztaty do miasta. Lepsza kawa, więcej spokoju... A ja dzieci bym mógł spokojnie tę godzinkę czy dwie (z naciskiem na godzinkę, czytaj: byle nie za długo) spokojnie ogarnąć.

Chwila ciszy. Czuję, jak na moją twarz wypęła ceglany rumieniec wstydu. Ryk młodszego. Biegnę jak nigdy, by utulić jak najszybciej. On też. Tomcio na drugim boczku. Smacznie śpi. Wymieniamy spojrzenie. On widzi, że płonę ze wstydu. Ja widzę, że wzdycha z ulgą. W końcu to z siebie wyrzucił.

Wracam do salonu i... knajpka wybrana, termin ustalony. Jest nawet plan, kogo zapraszają (koleżanki koleżanek koleżanek, których nigdy na oczy nie widziałam, wpadną na kolejny i następny warsztat). Oddycham z ulgą. Ale też ze strachem.



Będzie trzeba stronę na Facebooku do tego założyć. I wymyślić jakąś nazwę. Przecież nie napiszę: „Wbijajcie na wino przy plotkach i szydełkowaniu”. (Zwłaszcza że gospodyni i tak wiecznie o herbacie – albo karmię, albo w ciąży. To już taki permanentny stan podczas warsztatów).

Ale zaraz, zaraz! To może nawet dobrze, autem spokojnie można jechać na drugi koniec miasta. Nie będę musiała potem drukować wszystkim przepisu na to czekoladowe ciasto, bezwstydnie zerżnięte z internetu, z marchewką dodaną dla zdrowej niepoznaki. Jest w tym potencjał.

Mój mózg już przełącza się na tryb hiperaktywności. **Odkurzam meandry kreatywnego umysłu przedsiębiorcy.** Niby nieużywane neurony zamierają, a jednak u mnie budzą się do życia ze zdwojoną siłą. Jakby odpoczywając, tylko czekały na ten moment, by rozbłysnąć siatką pomysłów.

Dzieciaki śpią, jak nigdy (chyba dobrze im robi więcej czasu z tatą – jak on to robi, że są tacy zmęczeni, a sam daje radę jeszcze jakiś triathlon na YouTube odpalić?). Ja nie. Mózdzę. Jak ja nazwę te nasze plotki? Jaka knajpa? Jak się robi te wydarzenia na Facebooku? Przecież nie będę wszystkim maili wysyłać. A co, jak będzie nas za dużo? Z kameralnej, intymnej rozmowy nici. A co, jak mi knajpa każe rezerwację zapłacić? Na to budżetu nie mam. Ile ja mam wziąć za taki warsztat? Przecież nie wrzucę im tej wełny do siatek – jakieś kartoniki może? O! Firmowe torby! Ale logo nie mam, kurde. Noc za krótka.



jednym słowem

Wyszło szydło z worka.

w skrócie

Platanina sznurków wysypała się z szuflady.

Antyfan rękodzielniczych sabatów, rasowy triathlonista, pomógł w ich masowej organizacji.

zawiłość

Niespodziewanie ktoś pomógł podjąć MOJĄ ważną decyzję?

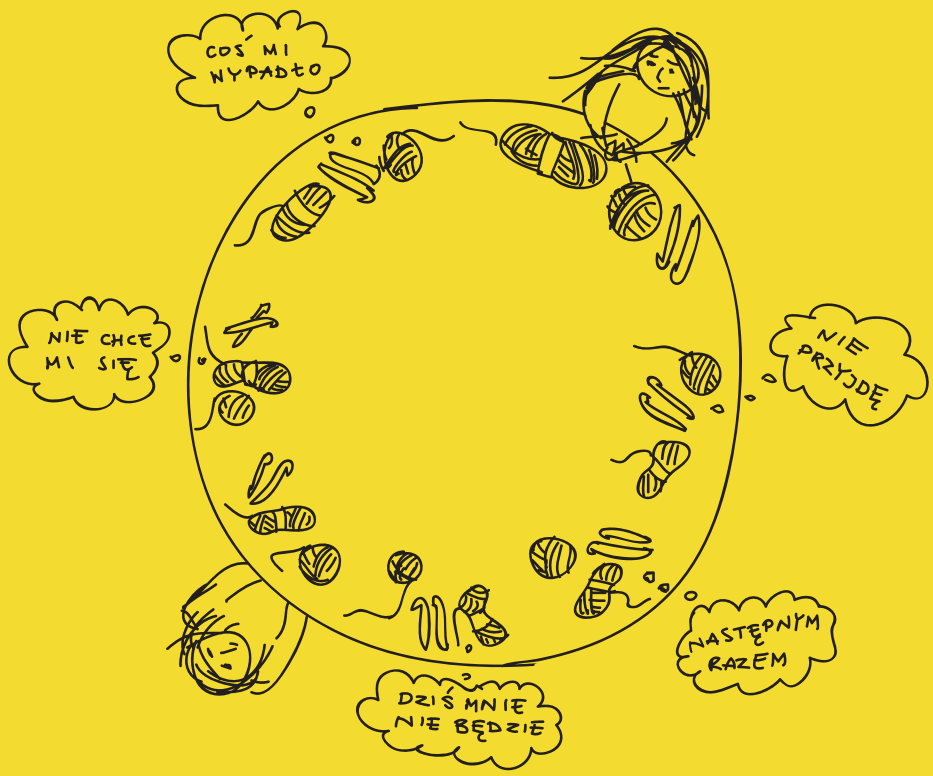
Czy może robił to świadomie?

Czy ja też mam zawsze świadomość, co właśnie się dzieje?

Czy takie brutalne akty szczerości od najbliższych przypadkiem nie pomagają?

Czy to pierwszy raz, kiedy ktoś popchnął mnie do działania, zanim byłam na to gotowa?





COS MI
WYPADLO

NIE CHCE
MI SIĘ

NIE
PRZYDE

NASTĘPNYM
RAZEM

DZIŚ MNIE
NIE BĘDZIE

ROZDZIAŁ 5

O... trudniejszych
schematach...
... bez autokamuflażu

Dzień Świstaka.

Wersja druga.

Czyli taki *time update*.

Jakiś rok później.

Dom w rozsypce.

Syf (delikatnie mówiąc).

Mam to gdzieś.

Wiem, że jak podczas tej drzemki tego nie zrobię (dzieci śpią w tym samym czasie przez jakieś czterdzieści minut, a z racji różnicy wieku nie da się zsynchronizować ani minuty dłużej), to nie zrobię tego logo wcale.



Pół dnia słuchałam podcastów na ten temat. Teraz biję pokłony dla upierdliwości wykładowców na filologii angielskiej, bo nie ma biznesowego terminu, który by mnie zagiął – wszystko kumam i wdrażam jak błyskawica. **Anglojęzyczne podcasty ratują mi biznesową skórę. I budżet na inwestycje.**

Zrobione.

Logo, strona na Facebooku, fanpage, wydarzenie.

Pierwsze Oplotki w eterze. O! Jest pierwsza zainteresowana. Rety! Jak dobrze, że ma fotkę. Mówiłam do niej „Aniu” na ostatnim domowym szydełkowym sabacie, a to Joanna! Potrafię z detalami zakodować historie i opowieści, ale mój mózg nie przetwarza imion.

Lecimy z dziećmi na plac zabaw. Podłogę już dawno odpuściłam. Czasem udaje się zmyć ją raz. Wieczorem.

Coś tam posłucham innych mam, ale wolę posiedzieć ze słuchawkami i podcastem.

Koloru kupy zapomniałam.

Spoko. I tak już zmieniam temat na placu, kiedy rozmowa (znowu) zbacza na ten tor.

Zastanawiam się, jak promować warsztaty, żeby przyszło więcej nowych osób.

Nowe osoby, nowe historie. A poprzednie już świetnie szydełkują pledy. Wpadają rzadziej, wołą podziergać w domu. Czasem przychodzą się pochwalić.

Lubię te spotkania.

Pękam z dumy, że zaraziłam je twórczym bakcylem rękodzielniczego czasu dla siebie.

Są momenty, kiedy moje maluchy bawią się ze sobą.

Układam wtedy nowe wzory.

A! I instrukcje robię, żeby po warsztatach uczestniczki potrafiły sobie spokojnie powtórzyć i przypomnieć wzory w domu.

Grafiki robię wtedy, kiedy dzieci śpią, a potem wklejam w te obmyślane wcześniej „idealne” miejsca.

Mam wrażenie, że robota przed komputerem jest odpowiednio zaplanowana w mojej głowie i dlatego tak dużo udaje się wyklikać w ciągu godziny.

Oj. W zamrażarce nie ma już obiadu. Kurczę, znowu będzie jajko sadzone i ziemniaki. Trzeci raz w tym tygodniu. Zrobię jajecznicę. Może Jacek nie zauważy. Dobrze, że od rodziców mamy wiejskie – wszystkim smakują... jeszcze. Odgrzewane zupy z zamrażarki na razie też.



Na szczęście nie zdążę usłyszeć narzekania. Przecież dzisiaj znowu warsztat. Mijamy się w drzwiach. On – spocony po treningu, napompowany endorfinami, coś ważnego w pracy.

Ja – zrobiona na wyjście. Ciuch, but, lekki make-up i modny splot we włosach, z kartonikami warsztatowych gadżetów w dłoni i kluczykami do auta.

Krótkie spojrzenie.

I jakby dyfuzja.

Jego mina coraz smutniejsza, moja – coraz bardziej podekscytowana.

– Opowiem Ci wieczorem. I tak już wychodzisz... – wybąkuje tylko, kiedy daję mu buziaka.

W policzek.

Znowu.

Niby też mi trochę przykro... Kolejny wieczór oddzielnie.

On w domu, ja w pracy.

Taka zamiana po tym, jak on w pracy, ja w domu.

Ale szybko racjonalizuję sobie znajomym tokiem myślenia: jego nie ma dziewięć godzin, ja wychodzę na trzy. Przecież to i tak kropelka w morzu domowej nieobecności.

Kiedy spóźniona przez korki w mieście wpadam do kafejki, szarobure myśli ulatniają się w mgnieniu oka.

Marchewkowe ciasto robi swoje.

Tym razem nie musiałam sama piec. Tym razem ktoś podał pod nos. Wiem, że to ten sam przepis, ale smakuje o niebo lepiej.



Jest magia.

Rozmowy, zwierzenia, ochy i achy nad nowym szydełkowym *skillem*. Niby zaczynamy od studiowania dywanów do dziecięcego, ale **one rozkwitają**. Marzenia o szalu z dzikiej fuksji i śliwkowej czapce (a co tam! Dostyc tej szarawej niewidzialności!) **kiełkują równolegle z niewypowiedzianymi wcześniej marzeniami, planami... tęsknotami.**

To takie niesamowite.

Jesteśmy takie inne, ale jednocześnie takie same.

Wracam naładowana pozytywną energią. Z głową pełną wizji.

Nieważne.

W domu chaos. Nieogar frustracji. *Summa summarum* zapominam zapytać o tę superważną rzecz u Jacka w pracy i niedopowiedziany foch wisi w powietrzu. Znowu.

Gdyby tylko wiedział, ileż trzeba szarpaniny, żeby to wydarzenie doszło do skutku, może doceniłby moje wysiłki.

Może.

Każda drzemka wydzierana szeroko rozumianemu ogarnięciu domu, żeby składny opis pod grafiką zapraszającą na warsztat zachęcał do przyścia. Każda spokojna zabawa, kiedy wzrok ucieka do telefonu pompującego ruch pod postem reklamowym. Każdy telefon do znajomej, która niezłomnie podrzuca serduszka pod wpisami.

Właśnie. Czas dzwonić.

Odhaczam ostatnią postową pomocniczkę, dziękuję płomiennie. Wiem, że dzisiaj już zrobiłam wszystko. Czas pakować materiały. Tak. Dzisiaj popołudniowy warsztat.



Znowu.

Coś mnie łamie.

A może nie.

Może po prostu jestem zmęczona.

I tęsknię.

Tak.

To chyba to.

Brakuje mi popołudnia w komplecie.

Przytulasów bez podtekstu typu „przepraszam, że znowu mnie nie ma”, tłumaczenia się z regenerującej przestrzeni mojego czasu poza domem.

Czy to normalne tak tęsknić?

A może to coś innego?

Winna niebycia.

Niby naładowana energią do „bycia”.

Ale nieobecna.

Albo zmęczona obecnością.

Ciągle rozdarta.

O rety, to już!

Dojechałam na autopilocie. Dopiero tradycyjna rundka w poszukiwaniu miejsca parkingowego wyrwała mnie z tych dziwnych rozważań. Znowu dopłace. Businesswoman, którą dobija koszt poznańskiego parkowania.



No trudno.

Wmawiam sobie, że to, co robię, jest ważniejsze niż kasa.

Stać mnie na ten cholerny parking.

Kto mi zabroni?

Siadam.

Stolik pusty.

Trochę jestem na siebie zła.

Dla jednej osoby nie opłaca się finansowo w ogóle.

Ale tutaj nie o to chodzi – dlaczego miałabym karać tę jedną osobę za nieobecność pozostałych?

Oczywiście, że będzie warsztat. VIP-owski! Jeden na jeden.

Mężowi nawet się nie przyznaję, wiem, że byłby pouczający monolog na temat tego hobby-pseudo-biznesu.

Siadam, pierwszy kęs marchewkowego, piję latte na owsianym i wzdycham z rozczarowaniem.

SMS. „Przepraszam, coś mi wypadło, wpadnę na następny”. Pierwszy raz (choć to nie był pierwszy samotny warsztat) się popłakałam.

Z bezsilności. Z poczucia, że w tych kilku słowach jest wszystko.

Brak szacunku do drugiej osoby.

Brak refleksji na temat czyjegoś czasu.

Założenie, że tak jest OK.



Totalne przekonanie, że można wpaść na kolejne spotkanie. Ot tak. Bo ja zawsze przecież będę czekać, bo mój czas nie jest ważny, bo po prostu można drugiemu człowiekowi coś takiego zrobić...

Ale czas spojrzeć prawdzie w oczy.

To nie pierwszy taki warsztat i pewnie nie będzie ostatni.

Te odwołane na kilka godzin przed dawały ulgę. Popołudnie w domu. Taką trochę nagrodę, że tylko ja, dowiozłam", choć dowozić tego dnia, dzięki nieobecny, nie musiałam.

Te z przepelnioną grupą dawały frajdę mówienia: „Niestety nie ma już wolnych miejsc, zapraszam na kolejny warsztat”.

Te z jedną uczestniczką na pokładzie dawały najwięcej.

Nie, nie adrenaliny, czy przypadkiem nie odwoła w ostatniej chwili, jak dziś.

Najwięcej rozmowy.

Najwięcej przełomów.

Najwięcej splotów (tak, to też szło o wiele szybciej w formie VIP).

Było coś z magii w rozmowie z osobą, której nie znasz w ogóle, ale otwierasz się przed nią tak, jak przed nikim innym. Tak dobrze nie zna cię nawet najbliższe otoczenie. Ani ty sama. Jakie to dziwne, że najszczerze, najbardziej otwarte rozmowy przychodziły mi najłatwiej z osobami, które pierwszy raz zobaczyłam na oczy. I których pewnie długo miałam nie zobaczyć ponownie.

Każdy indywidualny warsztat dawał mi przekonanie, że to, co robię, ma głębszy sens. To zdecydowanie więcej niż tylko nauka rękodzieła. Jeszcze nie umiałam tego nazwać, ale wiedziałam, że właśnie tam trzeba kopać, żeby trafić na diamenty.



Szlifowałam i szlifowałam rutynę wypraw na miasto jak maniaczka.

Ulepszałam proces. Zapisywałam scenariusze warsztatów.

A co, jak przyjdą dwie osoby? A co, jeśli będzie ich pięć? (czyli maks, który w drodze doświadczeń założyłam). A co, jak ta (tylko i aż) jedna osoba?

jednym słowem

Da się uciec od nudnej robótki.

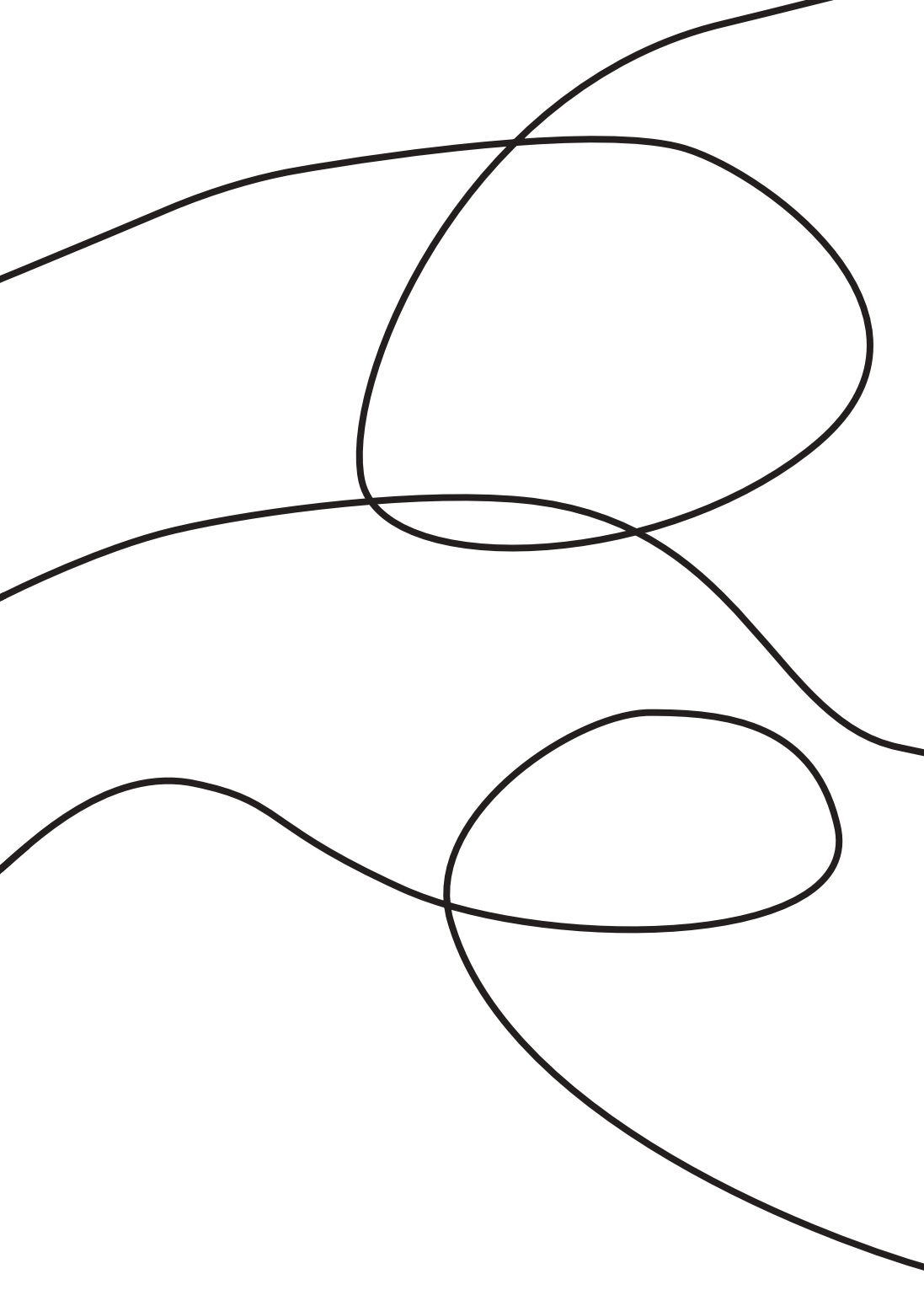
a dokładniej

Włóczki w dłoń, słowa w usta i dziergamy.

zawikłość

Czy aby na pewno to wspólne dzierganie służy każdemu tak samo?







ROZDZIAŁ 6

O... wyjściach...
... szydka z worka też

Zatonęłam w pracy.

Niepostrzeżenie tak właśnie zaczęłam nazywać warsztaty.

Trochę dlatego, że potrzebowałam argumentu, żeby te moje irracjonalne wyjścia wyjaśnić mężowi. Jak ma poczuć samotność rodzicielstwa facet z korpokariery, która jest ważniejsza („a za co kredyt spłacimy?”) niż jakieś tam pieluchy?

„Jestem samotna w roli rodzica” nie było argumentem. **Przecież na zewnątrz wszystko I-DE-AL-NE.**

Psiapsiółki na placu zabaw, kumpele po fachu, mąż z kratą na brzuchu i dobrą pensją, który wraca po pracy do domu przytulić rodzinę, zanim padnie wykończony po treningu. Zdrowe, piękne dzieci.

No czego ty, kobieto, jeszcze chcesz?!

Ano za dużo.

W relacjach – szczerości.

W finansach – dzięki niezależności.

W związku – równowagi.

W macierzyństwie – odrobiny czasu dla siebie.

Oplotki kiełkowały jako niby-praca. Miały być moją bezpieczną przystanią, stały się (też) niby-zarobkiem.

Z jednej strony nie mogłam uwierzyć, że ktoś mógłby płacić za te warsztaty jak za inną usługę (z wystawieniem sześciocyfrowej faktury na usługi architektury nie miałam najmniejszego problemu, ale na to mam szufladę dyplomów). Z drugiej strony czułam nieporównywalnie większą wartość w tym, co aktualnie robiłam.



Jak to wycenić?

Jak wycenić „O”, które symbolizowało dla mnie mistyczny kobiecy krąg wsparcia? Jak przykleić metkę do tego „Darcia pierza 2.0”? A co, jeżeli cena wykluczy te, które najbardziej takich spotkań potrzebują? Rozedrgane kręgi w naszym Oplotkowym logo chyba celnie ilustrują ten natłok myśli, które krążą – czasem nałożone na siebie, czasem rozbiegane we wszystkie strony. Kiedyś logo było jednym grubym czarnym okręgiem, ale z czasem zobaczyłam, jak wiele warstw kryje to małe kółko: motek, rondo, krąg...

Mężowi mówiłam, że idę do pracy.

Chciałam komunikować się jego językiem.

Jest z tego kasa, czyli można poświęcać na to czas.

Wiem, brzmi brutalnie. Teraz jednak widzę, że jego brutalność była po prostu realizmem. Okradałam ze wspólnego czasu rodzinę (jego rozumowanie), a to było uzasadnione tylko w przypadku zarobkowej pracy. (Chyba trochę rozumiałam ten jego tok myślenia).

Podczas kolejnych samotnych warsztatów (za choinkę nie wróciłabym do domu, by się przyznać do porażki, wcinałam więc marchewkowe i promowałam kolejne warsztaty, pisząc nowe posty... na komórce), coś we mnie pękło. Wiedziałam, że tak dalej się nie da. **Żebyśmy mogła zająć się Oplotkami na poważnie, element finansowy musi zagrać.**

O! Przyszła!!!

Byłam trochę poirytowana, bo właśnie zaczęłam szukać szkoleń z biznesu online (ci czarodzieje obiecują koniec zamieniania czasu na pieniądze – nie wiem, jak to działa, ale tego mi właśnie było trzeba). Oderwałam się od nowego postanowienia, ale zanotowałam w głowie i w telefonie, żeby sprawdzić, jakiego



budżetu potrzebuję na inwestycję w naukę biznesu online.

Byłam już w innym toku myślowym.

Trochę na siłę przestawiłam się znowu na tryb niespiesznego dawania.

Nie mogłam się zebrać w sobie.

Ale zaczęłam.

Ze sztucznym uśmiechem-maską.

Potem ten uśmiech stał się mocno autentyczny.

Był nawet moment, kiedy mogłam go komfortowo zdjąć i po prostu być sobą z całą paletą uczuć, pozwalając sobie nie tylko na te pozytywne, bezpiecznie, akceptowalne, ale również na szczerze, trudne emocje.

I tak już zostało do końca.

Podczas spotkania rozumiałam też, że krótkie SMS-y nie do końca są „o warsztatowej nieobecności”.

– O rety! Pani ciągle tu jest! Trochę miałam nadzieję, że nie...
Przepraszam – wybuchnęła płaczem.

Okazało się, że pokłóciła się z mężem. Zapomniał, że (wyjątkowo) tego dnia ona wychodzi. Powiedział, że nie zajmie się dzieckiem. (Bo tak! Bo to babskie zadanie!) I ona została w rozkroku pomiędzy „zabrać dziecko na warsztat i nie zrobić nic” a „zostać w domu i spróbować w innym terminie”. (Może mąż będzie miał lepszy dzień i się zgodzi). Kiedy już napisała SMS-a, dowiedziała się, że zapłaciła całe pięćdziesiąt złotych za warsztat. **Kazał iść, bo przypadnie i szkoda będzie.**

Dla mnie to było *katharsis*.

Kobieta, której nie znałam w ogóle, nagle zwierzyła się z długich lat życia w poczuciu, że źle wybrała. Chciała dziecka, ale partner nie bardzo. Macierzyństwo było jej karą za „zwycięstwo”. Moje problemy nagle stały się takie maleńkie.

A postrzeganie rzeczywistości znów zrobiło potrójne salto.

Moje rozumienie słowa Oplotki nabrało totalnie innego znaczenia. Jeszcze tego nie wiedziałam. Ale teraz wiem, że to tego wieczora, podczas tego warsztatu zrozumiałam, że Oplotki to moja osobista misja.

Gdyby było nas więcej, to nie tylko ja wkładałabym tej kobiecie do głowy, że zasługuje (jak każda z nas!) na ciepło, miłość, wsparcie i choćby moment dla siebie. Pewnie pozostałe szydełkomaniaczki skutecznie wlałyby w nią nie tylko moc szczerzej rozmowy ze sobą samą, ale też motywację do rozmowy z partnerem. Wiem, świat nie zmienia się na lepszy tylko dlatego, że nagle tego bardzo chcemy, ludzie też... Ale już wewnętrzna siła, przekonanie, że da się inaczej, daje nam paliwo do konsekwentnych działań, zmian i pełnych zrozumienia, trudnych rozmów. A one już zmieniają wiele. Czasem wystarczy usłyszeć od zupełnie obcych osób: „Wiesz, należy ci się czasem odpoczynek od obowiązków. Może spróbuj po prostu podzielić się nimi z partnerem”, żeby drgnęło coś, co wydawało się wykute w skale na zawsze.

Obie potrzebowałyśmy tej rozmowy. Na zewnątrz nie zmieniła nic (no, może powstała nieskończona szydełkowa pufka do dziecięcego). W środku dała siłę nie z tej ziemi.

I ciągle daje. Najbardziej wtedy, gdy debet na firmowym koncie każe ograniczać szalone inwestycje w Oplotkowe warsztatowanie.

Wierzyłam, że ktoś pomoże mi to ułożyć w model biznesowy. Wartość tych spotkań jest większa niż cokolwiek, za co jesteśmy w stanie zapłacić pieniędzmi.

Postanowiłam.

Będzie mnie stać na to, żeby takie spotkania organizować masowo. Jeszcze nie wiedziałam jak, gdzie, kiedy, za ile, z kim, w jaki sposób (tego było tak dużo!), ale wiedziałam po co...

Wiedziałam DLACZEGO.

A to już coś.

Kolejna wyraźna analogia do Oplotkowego symbolu: moneta, czyli pieniądz, czyli taki okrągły twór, jak to „O”.

Wypadła z portfela, kiedy rozliczałam się na koniec warsztatu za nasze kawy (tak! w tych pięćdziesięciu złotych opłaty była jeszcze kawa i ciacho! – biznes na minusie, ale nie potrafiłam wtedy inaczej) i pokulała się pod ladę. Kolejna piątka, którą dokładałam, zamiast zarabiać. Wierzyłam ślepo, że w końcu wymyślę model, który pozwoli na generowanie przychodu w inny sposób niż obowiązkowe „kasowanie” za spotkania. Bo inaczej, to mogę pożegnać tę magię. Była presja, była więc i motywacja do rozwoju.

Kiedy nie warsztatowałam, rozmyślałam o warsztatach. Ciałem na placu zabaw, duchem z kreatywnymi duszami. Zanurzona w pochłaniających bez reszty dyskusjach. (Nie, bynajmniej nie o wyższości marchewki surowej nad gotowaną, mimo że wprowadzałam do diety drugiego dziecka pierwsze stałe pokarmy).

Plac zabaw męczył mnie coraz bardziej. Może to i lepiej, bo siedziałam z dziećmi i gmerałam w piasku, zamiast dyskutować z innymi rodzicami (tu jeszcze można było się czegoś nowego dowiedzieć) albo nianiami (w porze dziennej to raczej była norma) o pierdołach (one czasem chyba miały dosyć dzieciaków bardziej niż niektórzy rodzice).

Coraz śmielej odważałam się na prawdę.

Zamiast ściemy, że przepiękne spodenki to wyszperany na Instagramie niszowy handmade z organicznej bawełny,

mówiłam szczerze, że to lumpeks z naszej ulicy, bo nie znoszę galerii handlowych, a instaszperanko zamieniam na pracę przed komputerem.

Czasem nawet (o zgrozo!) mówiłam wprost, że wolę tę stówkę zainwestować w reklamę na Facebooku i promować warsztaty, zamiast wydać ją na nowe ciuszki, z których i tak zaraz dzidzia wyrośnie. Coraz częściej przepraszałam się z różem dla dziewczynki i błękitem dla chłopczyka kosztem bólu wizualnego, ale dla spokoju ducha i odhaczonej choćby jednej powinności z listy obowiązków matki Polki. Zwłaszcza kiedy prezenty od rodziniki trafiały na dziecięce półeczki jako pakiet ubraniowego *must have*. (Ach, co za finansowo-mentalna ulga na kilka miesięcy do przodu!)

Myślałam, że „dorośli z placu zabaw” będą mnie lubić coraz mniej. Ale kiedy nie miałam już siły, ochoty i czasu na pozy supermamy, one też były jakieś takie bardziej trójwymiarowe. Nagle miałyśmy o czym gadać. Okazywało się, że czujemy/działamy/odpuszczamy sobie to udawanie dokładnie tak samo!

65

Zaczęłyśmy ze sobą rozmawiać.

Tak naprawdę.

Zabawki zbierałam z domowej podłogi tylko przed przyjściem Jacka z pracy. I to tylko w te dni, kiedy nie było warsztatów. Ot tak, żeby obiad zjeść wspólnie we względnym wizualnym komforcie (zazwyczaj przed takim obiadem było tylko jedno mycie podłogi, zamiast czterech dziennie).

Zauważyłam, że im mniej od siebie wymagam, tym więcej miejsca pozostaje dla niego.

Zaskakiwał pizzą. Czasem jajecnicą. Z czasem prawdziwe dwudaniowe obiady zaczęły pojawiać się w naszym menu (zero mojej pomocy i zero mrożonki!). Czasem wpadałam z warsztatu i odkrywałam posprzątaną łazienkę. I umytą podłogę...

Kolejny warsztat.

Przyszły wszystkie! No rekord jakiś. Nawet rezerwowa – szósta.

Przeprosiłam. To niespodziewany szok, bo jest nas więcej, niż zakładałam. Wybaczyły. Stwierdziły, że kameralnie może być i w szóstkę, jak się sprężymy. Choć starałam się, żeby maksymalnie było pięć uczestniczek, to zdarzały się też liczniejsze grupy.

Jedna z kobiet to psycholożka (dowiedziałam się potem). Było nas więcej, więc strach, że nie udźwignę ciężaru rozmowy.

Dzięki niej było lekko.

Przyciska pytaniem, kiedy czujemy, że można. Zmienia temat na (strasznie trudny) słupek, kiedy czuje, że schodzimy za głęboko.

Z gracją domyka trudne zwierzenia.

W głowie diagnozuje i z wachlarza narzędzi wybiera skuteczny, pomocny gest, słowo. Na ten trudniejszy czas po gwałtownym rozdrapaniu wewnętrznego strupa.

Tak to odbierałam i podziwiałam, szczerze zazdroszcząc takich umiejętności. Plasterkowałam traumy i łała hojnie wodę utlenioną zrozumienia na najdrobniejsze zadrapania naszej trudnej kultury idealnej matki Polki.

Uczyłam się, chłonełam.

Coraz więcej rozumiałam.

Później długo rozmawialiśmy same.

Kiedy szydełkowe maty do jogi wybiegały z rozgadany mi (nowymi) przyjaciółkami, skutecznie narażałam się na fochy męża.



Wiem, że było warto.

Zostałyśmy w tej knajpie jeszcze na kolację.

Uświadomiła mi, jaką „robię robotę” (to już wiedziałam). I jak ważne jest, żebym miała świadomość, jak pomóc sobie. Niby to podskórnie czułam, ale nazwać nie potrafiłam.

Ona to wiedziała.

Widziała wszystko, jakbym była przezroczysta.

Chłonęłam zwierzenia o przemocowych mężach, oceniających teściowych, matkach, które nie ostrzegły, że będzie tak ciężko (w ciąży, przy porodzie, w macierzyństwie). Podczas warsztatów mówiłyśmy o bezsilności wobec społeczeństwa, które pudruje trudy poporodowej deprechy, nazywając smuteczkiem (to jeszcze pół biedy) albo fanaberią („za moich czasów nie było na takie rozczulanie czasu!”).

Wracałam do domu z plasterkiem głębokiego oddychania i racjonalizacją pt. „Powiedziała, że potrzebowała tej rozmowy jak pustynia wody... Zrobiłam, co mogłam. Pomogłam, więcej nic nie zrobię”. A potem śniły mi się te twarze, sceny i brak happy endów po nocach, i nie umiałam sobie z tym poradzić.

W trakcie tej rozmowy 1:1 poczułam się jak podczas warsztatu. Wylałam z siebie morze obaw, trudności, wątpliwości, strachu, poczucia, że nie wiem, czy to udźwignę. Ale ona dała mi narzędzia do pozbycia się koszmarów z tymi kobietami w rolach głównych.

Powiedziała, że po prostu podziwia. Pokazała, jak uwolnić kumulujące się trudności. Po latach przyjaciółka powiedziała mi, że to świadoma praca z przekonaniami.

Z ust psycholożki z latami praktyki – uwolniło. Nie tylko narzędzia, których mnie nauczyła, ale jej szczerzy podziw do tego, co robię. To chyba nawet bardziej.



Teraz wiem, że ona wiedziała, jak tego potrzebuję.

I tak po prostu bezinteresownie mi to dała.

Jestem jej wdzięczna.

Jeszcze mała myśl, którą złapałam, odprowadzając wzrokiem uczestniczki szydełkowego warsztatu, wymieniające się adresami poznańskich Yoga House'ów.

Przecież one miały rację! Szydełkowanie (jak każde rękodzieło) to magia zaklęta w powtarzalnych ruchach dłoni i miarowych oddechach.

Joga... umysłu!

Dałam sobie prawo korzystania z tego daru bez granic.

Już nie miałam wyrzutów sumienia, kiedy po prostu dziergałam (zamiast promować kolejny warsztat albo dłużyć stronę). Wiedziałam, że jestem najważniejszym zasobem swojej firmy. Skoro auto bez przeglądu i wymiany oleju nie daje rady, ja też potrzebuję rutynowego serwisu. Coś, co wcześniej robiłam intuicyjnie, kiedy było mi za ciężko, teraz robiłam z pełną świadomością, aby naładować wyczerpane baterie.

Z tego warsztatu wróciłam do śpiącego domu. Nie byłam głodna, bo wrażenia zamroziły burczenie... Ale zapach spaghetti Jacka skutecznie przypomniał o potrzebie solidnych kalorii. Na talerzu, jeszcze ciepłe. Jacek właśnie kończył wkładać gary do zmywarki i przecierał stół. Poczekał z kolacją, żebyśmy zjedli (wyjątkowo) razem. Bezcenne.

Musi być równowaga! No musi. Tamten warsztat – było na nim sześć osób. To teraz będzie kłapa. Mur-beton! Znowu dwie zapisane osoby. Znam swoje statystyki. Będzie jedna. Maks. Ale mimo nęcącego ciepła lipcowego placu zabaw, kiedy Jacek ogarniał dzieciaki, a ja tak bardzo chciałam do nich dołączyć, pojechałam warsztatować.



Przynajmniej parking w pierwszej rundce. Wszyscy nad jeziorami. Pusto na Śródcie (coraz częściej poznańska turystyczna wizytówka była moją miejscówką warsztatową), lemoniادka bez walki o stolik ma lepszy smak.

Dziergałyśmy, ale widzę, że uczyć nie trzeba.

Ona wpadła dla rozmowy.

Niby odhaczałam w głowie kolejny punkt scenariusza warsztatu, ale czułam, że skończymy grubo przed czasem. Pozwalałam sobie na zwierzenia. Chyba ciut za głębokie. Podziwiałam

bezbrzeżnie. Marzyłam o trzecim, ale w dobie dosyć częstych fochów o mężową opiekę nad „parką” zakopałam to marzenie niebezpiecznie głęboko.

Ona to miała...

Trójkę dzieci i wspierającego męża. Przedziwna egzotyka – taki partner, którego się kocha na co dzień – w prawdziwej relacji. To się czuło. Nieudawane „między nami jest dobrze”. Trójka dzieci to pestka (teraz wiem, że to prawda). Jej brakowało w tym wszystkim jedynie... siebie.

Szukała swojego miejsca po macierzyństwie. Nie chciała wracać do znajomej przeszłości. Chciała wyzwania, pogoni, redefinicji. Głośno myślała i celnie pytała: „Da się na tym zarobić?”.

Wracałam do domu z cenną refleksją: Oplotki to szydełko dla wnętrza.

Czy projektując logo już podświadomie wiedziałam, że sama nie dam rady?

Czy już wtedy wiedziałam, że będzie nas więcej?



jednym słowem

Wspólne dzierganie dało nowe wzory.

w skrócie

Każda z nas niby dzierga własną rzeczywistość... Niby tę samą, ale taką różną. Może dałoby się dziergać ją wspólnie?

zawikłość

Jak nauczyć się korzystać z tych samych wzorów, żebyśmy nie musiały wymyślać ich ciągle na nowo?

A może to nie kwestia wzoru? Może chodzi o to, z kim dziergam?





ROZDZIAŁ 7

O... patchworkowej
metodzie na pewną
szydełkową
pracę

RĘKODZIEŁO DLA WNĘTRZ.

Tak brzmi slogan Oplotek. Od pierwszego dnia, kiedy powstał oficjalny fanpage na Facebooku.

Dlaczego więc dopiero po tym spotkaniu zaczęłam realnie myśleć o budowaniu zespołu? Przecież slogan to w końcu „rękodzieło”, a nie tylko „moje szydełko” dla wnętrz. Przecież już cztery warsztaty wcześniej poznałam mistrzynię filcowania, która wpadła na szydełkowy relaks. Haftującą speckę jakieś siedem spotkań wcześniej. (Co ja sobie wtedy wyobrażałam, dodając do oferty warsztat haftu? Jedyna osoba, która się zapisała i przyszła, cierpliwie uczyła mnie – nie się). Przy wybuchach śmiechu rozmawiałyśmy otwarcie o warsztatowej współpracy w zakresie nauki podstaw haftu).

Dopiero ONA była katalizatorem.

Jak przedziwnie życie zawodowe splata się z tym prywatnym. Rozmowa o moim najgłębiej ukrytym macierzyńskim marzeniu uskrzydliła mnie do zawodowej eksplozji. Wiedziałam, że na trzecie dziecko po prostu musi być nas stać. Długo przed tym, zanim w ogóle zacznę mrozącą krew w żyłach rozmowę z mężem.

Dziwny splot wzajemnej fascynacji uczestniczka–prowadząca połączył nasze szydełkowe ścieżki.

Dzieliłam się ogromem biznesowego *know-how*, które powstawało w trakcie działania. Czerpałam garściami wiarę, że trzecia dzidzia może dołączyć do naszej szalonej domowej ekipy rodzinnej jako nagroda za finansowe zadbanie o biznes. Podziwiałam ogarnięcie mojej warsztatowej uczestniczki w tym rodzinnym chaosie. Chłonełam praktyczne wskazówki. Szczerze zazdrościłam.

Chwilę po tym, jak otrzymała dotację, straciła serce do biznesu handmade. Pewnie nigdy nie dowiem się, jaki był prawdziwy



powód. Nasza relacja wywarła jednak na mnie ogromne wrażenie. Wspominam ją ciepło mimo gorzkiego zakończenia, które chyba skutecznie ze wspomnień wyparłam.

Za dużo było cennego wkładu w tej relacji, szkoda to zniszczyć, pielęgnując urazę.

Wierzę, że nawet drobne strzępy samopoznania, które wnoszą kolejne napotkane na naszej drodze osoby, są cenne. Budują nas, konfrontują. Zawsze warto podejść do nich z otwartością, nawet jeżeli czasem przyprawiają nam coraz grubszą skórę.

Nauka, którą wyciągnęłam z tej relacji, zakiełkowała cenną myślą w mojej podróży. Pokazała mi nową finansową ścieżkę.

Odkryłam, że pieniądze tylko katalizują to, co nieuchronne, i to, co i tak nadchodzi.

Złudzenia to mięciutka mgiełka, ale czy rzeczywiście przydatna?

A może pieniądze wcale nie sprawią, że stanę się zła (chciwa, nieuczciwa, robiąca biznes kosztem innych ludzi – tu wstaw dowolne popularne przekonanie, które jako kobiety często w irracjonalny sposób wzmacniamy w sobie, tak naprawdę po prostu szukając wymówek, żeby nie zacząć spełniać swoich marzeń)?

A może pieniądze (tylko i aż) sprawiają, że będę bardziej sobą? Skoro tak jest, to czy nie warto przestać używać dzieci jako wymówki i zacząć traktować je jako motywatora?

Może marzenie o kolejnej dzidzi na pokładzie naszej rodzinnej łódki to namacalny powód, dla którego warto zrewidować swoje przekonanie, że na misji nie można/nie wolno/nie powinno się zarabiać?

A co, jeżeli sukces finansowy rzeczywiście może zwiększyć siłę rażenia Oplotkowych spotkań, sprawić, że będzie ich więcej?



Czy to może być (aż tak) proste?! Nie było dnia, abym nad tym nie rozmyślała. Jak się dorobić, skoro każdą zarobioną złotówkę inwestuję w materiały, w rozwój osobisty, w programy biznesowe? Jak nadgonić, skoro startuję w tej branży od zera? Jak wymyślić sobie i ten biznes na nowo, z poczuciem, że pieniądze są tylko (i aż) narzędziem do szerzenia bakcyła rękodziela i idei „Darcia pierza 2.0”?

Pomogło mi tradycyjne zakończenie roku.

Od czasu studiów naszym rytuałem przygotowań do Wigilii było planowanie wypadu snowboardowego (z mężem) i całonocne spotkanie przy stole (ze znajomymi po fachu). Zaczęło się, kiedy na korytarzach wydziału architektury poznańskiej polibudy znosiliśmy mandarynki i pierniki, żeby sobie zrobić Wigilię w wersji mini (z zakuwaniem do wcześniejszych terminów egzaminów). I tak nam zostało to działanie pod prąd. Każdy z nas trafił na architekturę pokrętną drogą. Różniliśmy się od dzieciaków architektów, które miały z góry zaplanowane miękkie lądowanie w znajomych pracowniach. Uczenie się detali architektury drewnianej sprawiało nam autentyczną frajdę (czym zaskarбилиśmy sobie miano rocznikowych dziwaków), a potem bardzo przydało się w praktyce zawodowej.

Kilka lat później wspominaliśmy kółko historii architektury i zdaliśmy sobie sprawę, jak cenna jest nasza nienachalna relacja. W ciągu roku większość z nas prowadziła swoje równoległe życie, ale święta były dla nas czasem ponownego spotkania, wspomnień, podsumowania roku, a także snucia planów na przyszłość.

Spotkanie tamtego roku dało mi dużo do myślenia w kwestii finansów.

Pewnie każdy z nas miał jakieś wyobrażenie o wymarzonem zawodzie architekta. W naszej dyskusji wszyscy zgodziliśmy się, że krążyło ono raczej w okolicach dobrej fury i domu rodem z wnątrzarskiego magazynu. Tymczasem odkryliśmy, jak trudno



było przebić się przez tłum konkurencji, nieprzygotowania do własnej praktyki zawodowej (zamiast pracy jako wieczny asystent w czyjeś pracowni) i totalnej nieumiejętności sprzedania naszych cennych kompetencji. Kiedy zaczęliśmy mówić o pieniądzach, z fascynacją odkryłam, że stawki, które obowiązywały w mojej firmie, miały się nijak do głodowych pensji koleżanek i kolegów – których podziwiałam i podziwiam za ogrom kompetencji i rzetelności – pracujących na etatach i (o zgrozo!) na umowach śmieciowych.

Dotarło do mnie! Głośno i wyraźnie (choć nie powiedziałam wtedy ani słowa, bo najzwyczajniej byłam zaskoczona jak nigdy!).

Masz tyle, na ile się godzisz!

Jeżeli koleżanka, która tkwi na etacie, gdzie czuje się nadmiernie eksploatowana, boi się zażądać więcej, mimo że wszyscy usilnie przekonują ją, że powinna, to może ja właśnie robię to samo w Oplotkach?

Czyżbym wyceniała swoją Oplotkową pracę poniżej tego, co moje klientki są w stanie (i chcą!) zapłacić?!

Z tego świątecznego spotkania wróciłam z myślą, że nie ma innej drogi niż się przekonać samej. A... no i z noworocznym postanowieniem, że kontynuuję podsyłanie swoich architektonicznych klientów do znajomych po fachu, bo operują w wyjątkowo przyjaznych dla klientów stawkach, nawet kiedy powoli przechodzą na swoje. I przede wszystkim – podnoszę ceny. Podnoszę i szukam dochodowego modelu działania Oplotek.



jednym słowem

Nie ma schematu idealnego.

w skrócie

Gotowe schematy są fajne, ale i tak to własna interpretacja wzoru daje ogrom możliwości. Całkiem fajne te autorskie prace na bazie popularnego wzoru.

zawzięłość

Sięgam po wypróbowane wzory?

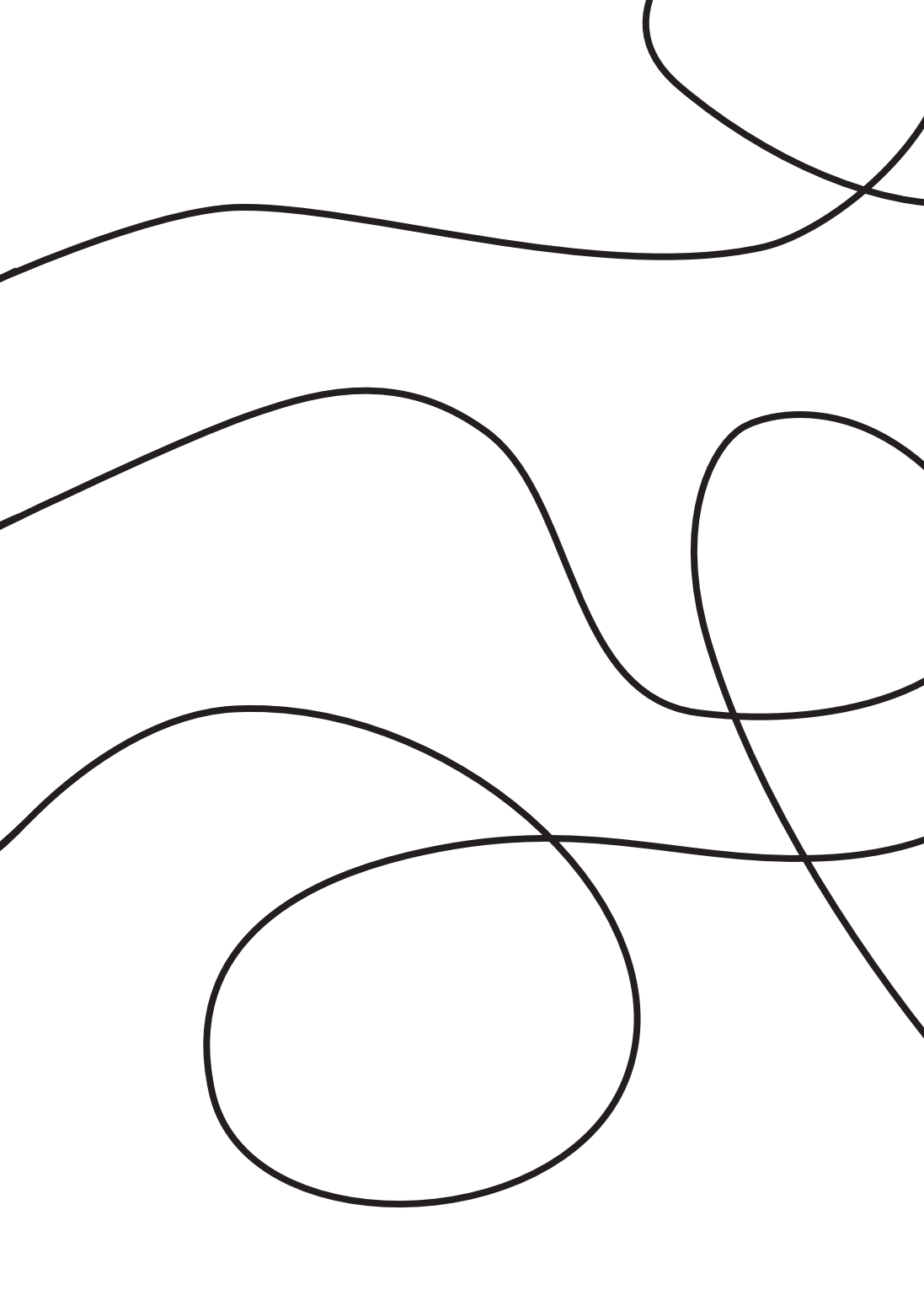
Czy czasem mnie rozczarowują?

Czy interpretuję je po swojemu?

Czy wymyślam od nowa?

A może wzorowe niepowodzenie pcha często w kierunku czegoś nowego?







ROZDZIAŁ 8

O... nowych
technikach
...czyli dzielać się,
pomnożysz

„Odejdź już od tego komputera!” oznaczało „Chodź na kolację”, „Przytul się do mnie”, „Pobaw się z dziećmi”, „Zadzwoń do rodziców”, „Chodź już spać”.

Przywarłam do ekranu na dobre.

Rozkminiałam reklamy na Facebooku, prowadzenie darmowych webinarów, analizowanie zachowań kolejnych internetowych czarodziei, którzy sprzedawali cuda na kiju możliwe tylko wtedy, kiedy zasilisz ich konto strumieniem gotóweczki.

Nie ufałam temu światu.

Zbyt piękny, kolorowy, pozowany.

Znałam drugą stronę instafoci.

Sama je trzaskałam.

Był jednak wieczór, który zmienił dla mnie wszystko.

Webinar.

Milion pierwszy.

Oczywiście bezpłatny!

Nie pierwszy po angielsku. W końcu na coś się przydawała ta filologia sprzed architektury.

Blondynka w czerwonym.

Nie mój klimat. Totalnie.

Ani czerwony kolor, ani blond.

Ani superpewny ton głosu.



Kiedy zaczęła mówić, nie mogłam jednak oderwać wzroku. Islandka, mieszkająca jednocześnie w Szwajcarii, która zdecydowała, że nie chce mieć dzieci, bo zrozumiała, jak często kobiety używają ich jako wymówki, aby nie mówić własnym, silnym głosem.

Twierdziła, że **bardzo często dla kobiet to właśnie dzieci są powodem odkładania marzeń na wieczne potem.**

I co najważniejsze, głośno twierdziła, że każda kobieta powinna zarabiać pieniądze (dosłownie!), i to duże pieniądze.

Totalnie nie moje wartości. Co też potencjalnie mogłabym mieć z nią wspólnego, że tak zarezonowały we mnie jej słowa? Jak to?! **Mój heroizm poświęcenia kariery dla dzieci został sprowadzony do roli wymówki?!** Wewnętrznie krzyczałam, chciałam się wykićtać o swoją prawdę, ale w środku czułam, że mówi o mnie.

I najtrudniejsze: miała rację.

Oplotki takie biedne, niezarabiające. Tak czekające na rycerza na białym rumaku, który powie: **„Tak – robisz coś wartościowego. Masz tutaj budżet. Idź i naprawiaj świat!”.**

I ja – biedna, która „mogłaby wszystko, gdyby nie dzieci i taki mąż” (na zewnątrz niby pięknie, ale pierwsze lata Oplotek traktował jak hobby szalonej mamuśki. Nie mam mu tego za złe. Nie tylko on. Ja, prawdę mówiąc, też).

Ona pokazała mi coś, czego sama nie dostrzegałam, choć czułam, że tam jest.

Moje **ograniczenia.**

Nie te na zewnątrz, ale te w mojej własnej głowie.

Reklama webinaru złapała mnie przesłaniem: „Zbudowałam biznes wokół życia prywatnego, a nie jego kosztem”, a sam webinar zatrzymał wstępem: „Jestem taka jak Ty, ale



postanowiłam sama zatroszczyć się o spełnienie marzeń, nie czekając, aż ktoś przyjdzie i to dla mnie zrobi”.

Zaraz, zaraz... To tak można? Nie trzeba nikogo pytać o pozwolenie? Nie potrzeba mi kogoś, kto powie: „No dalej, zrób to!”? Można ot tak po prostu sobie postanowić, że będę szczęśliwa i zadbam o siebie?

Teraz wiem, że ukształtowała ją pierwsza kobieta prezydentka (też Islandka, bez dedykowanego politycznego wykształcenia, amazonka po raku, która przewodziła silnemu narodowi w sposób, o którym długo będą pisać podręczniki historii – swoją drogą polecam biografię Vigdís Finnbogadóttir), przedsiębiorczy rodzice i moment, kiedy pierwszy raz usłyszała, jak dojrzałe kobiety mianują macierzyństwo powodem niespełnienia życiowych celów i marzeń.

Olśniło mnie!

Przecież ta kobieta zmienia świat tylko dlatego, że jako dziecko patrzyła na inne kobiety i uczyła się od nich, co jest możliwe, a co nie.

No właśnie Ona pokazuje, co można, a nie, czego nie wolno.

A czego teraz uczą się moje własne dzieci???

Że niby mam własny biznes, a w rzeczywistości wiszę na macierzyńskim.

Że w misję zmieniania świata można się pobawić, jak ktoś da Ci budżet, a potem wracaj kobieto do rzeczywistości i klikania kreseczek w programie AutoCAD. Wracaj do poganiania panów na budowie, bo za to ludzie chcą płacić tyle, ile Ci potrzeba na mieszkaniowy kredyt.

Że sama to tam sobie możesz, wiesz, marzyć, ale kiedy życiowy partner mówi „nie”, to znaczy, że nie wolno. A jak własna mama



mówi: „A co Jacek na to?“, chce Ci się krzyżeć, bo nawet osoba, która wspiera Cię najbardziej na świecie, żyje społeczną kalką i nie mieści się jej w głowie, że Ty chcesz iść pod prąd... czasem bez niczyjzego pozwolenia. Tak po prostu, żyjąc po swojemu.

Zanim moja przyszła mentorka przeszła do biznesowych konkretów i wyłożyła sposoby pracy pod jej opieką, byłam już mokra od potu na plecach. Takiej samorealizacji nie doświadczyłam od lat. Instynktownie wiedziałam, że czas najwyższy zmierzyć się z wszystkimi strachami i zaufać temu irracjonalnemu przekonaniu, że Oplotki są warte więcej niż puchnące od pieniędzy z architektury konto.

Zaufać, że biznes DA SIĘ oprzeć na chęci pomagania innym kobietom w zmierzeniu się z ich strachami...

...przed samodzielnością,

...przed biznesem,

...przed walką o siebie.

Ogromna inwestycja otworzyła mi oczy.



Skoro ja – sceptyk roku, stała bywalczyni bezpłatnych webinarów – odważyłam się zainwestować duże pieniądze w siebie, w to irracjonalne przecucie, że można robić biznes, opierając się na najgłębszych (moich osobistych) wartościach przy jednoczesnym byciu obecną w życiu rodziny, to znaczy, że się da. Wiedziałam, że nie jestem jedyna. Wiedziałam, że takich kobiet jest więcej. Chciałam być jedną z NICH.

Teraz pozostawała tylko logistyka najdrobniejszych pojedynczych kroków. JAK to zrobić? Jak ja mam ten superuskrzydający biznes zbudować?

Jak?

Krok po kroku.

Kupiłam najdroższy program w swoim dotychczasowym życiu.

Oczywiście kursiki Facebooka, robienia strony internetowej i inne inwestycje miałam już dawno za sobą, ale kiedy ogołociłam moje oszczędnościowe konto, żeby zapłacić pierwszą ratę za program online MBA, mąż pomyślał, że oszalałam. Nie wiedział, że to tylko jedna z sześciu rat...

Na szczęście – skracając wydarzenia pierwszych miesięcy od pamiętnego września – przed świętami sprzedałam z sukcesem swój pierwszy kurs szydełkowania online. Szybko spłaciłam resztę.



jednym słowem

Czas na nowe szydetka.

w skrócie

Czy nowe narzędzia sprawia, że z tej włóczki, którą mam, powstaną odlotowe prace?

zawikłość

Czy aby na pewno nowe narzędzia to wszystko, czego potrzeba?





ROZDZIAŁ 9

O... zamianie
szydełka
na druty

Spotkania szydełkowych kursantek wspominam do dziś. To wtedy uwierzyłam, że da się do przestrzeni online przenieść magię kameralnych rozmów i ogrom rękodzielniczego *know-how*. Odkryłam, że większość mojej pracy to motywowanie do tego, by po prostu spróbować – reszta dzieje się sama. Oplotkowe „O” kojarzyło mi się wtedy najbardziej z motkiem wełny merino albo z kulką bawełnianego sznurka.

Nie o sukcesach będę jednak tutaj pisać. To znajdziesz na Oplotkowych stronach WWW, w social mediach, w podcaście czy na YouTube.

Oczywiście po zakupie dostępu do programu mojej mentorki utonęłam w przepastnej bibliotece. Z wypiekami na twarzy po nocach studiowałam arkana biznesu online. Lista mailingowa, webinary, zaangażowana społeczność, automatyczne lejki i leady z Facebook Ads. Może teraz to hasła, które w dobie po pandemii znamy wszyscy, ale te kilka lat wcześniej brzmiały one równie egzotycznie, co wielorazowe ekopieluszki dla niedzieciatych.

Co zmieniło mnie jednak od środka? Społeczność.

Niby niewinna grupa na Facebooku doklejona do online MBA. Pełna jednak kobiet z całego świata. Matek i nie-matek. Różnych. Tak bajecznie różnych. Kulturowo, wiekowo, religijnie. Ten superdrogi biznesowy kombajn okazał się technicznym zapleczem do biznesów stworzonych ze względu na chęć zmiany świata – dla takich kobiet jak ja.

To było takie uwalniające! Każda kobieta, z którą rozmawiałam, chciała wzrostu, dochodów, kasy! Ale też każda chciała realizować niesamowitą misję!

To tam odkryłam, że kaganiec przekonań na temat definicji „idealnej matki” nałożyłam sobie z jednej strony sama, ale też dałam sobie nałożyć przez nasze społeczeństwo, rodzinę, a nawet bliskie mi kobiety. Francuzka, z którą dyskutowałam godzinami, nie mogła się nadziwić, dlaczego mąż zgodził się,



żebym tak długo tkwiła na macierzyńskim (u nich to chwilunia i heja, do roboty. W jej kręgach normą był raczej rekordowo szybki powrót do aktywności zawodowej). Niemka zastanawiała się, dlaczego w ogóle kogokolwiek pytam się o pozwolenie. Przez szacunek?! U nich brak niezależności to brak szacunku do siebie nawzajem.

Kolejne klapki w mojej głowie otwierały się jedna po drugiej.

Coś, za co biczowałam się miesiącami, co wydawało mi się grzesznym egoizmem wyjścia poza polską normę, było w innych krajach codziennością dbania o swój psychiczny dobrostan. Tak potrzebny! Przecież chcemy dla swoich dzieci jak najlepiej, prawda?!

Z pustego nawet matka Polka roku nie należy.

Jeden wniosek został ze mną najdłużej. Dzieci i mało wspierający Oplotkowe szaleństwo mąż – to nie mogła być moja wymówka. Zamieniłam to wszystko w turbomotywację.

Z myślą „to tylko patrz!” podeszłam do męzowego „to po to ci były studia w Berlinie, żebyś teraz uczyła mamuśki szydełkowania?”.

On naprawdę był przekonany, że po przerwie macierzyńskiej z Oplotkami w tle wrócę do tradycyjnego rozumienia architektury i kariery.

Nie mogłam tego pojąć!

Czy to możliwe, że mój własny mąż tak bardzo mnie NIE ZNA?

Czy chciałam go zostawić? (Pewnie coś takiego w głowach rozwścieczonej feministki byłoby najsensowniejszym rozwiązaniem).

Milion razy!



Wiem, że jesteśmy ogarnięci i tacy, kurde, kulturalni, że byłoby nam wygodniej.

Trud redefiniowania siebie nawzajem w związku jest chyba jednak bardziej mój niż szukanie dalej.

Pewnie nawet bym nie potrafiła.

Platoniczna miłość z podstawówki, która wykielkowała w dojrzały związek dwóch, poharatanych w międzyczasie przez inne związki, dorosłych ludzi. Punkt, w którym odnaleźliśmy się wspólnie po latach – każdy po epizodzie bolesnych doświadczeń z gatunku tych zakończonych gromkim „już nigdy więcej w parze”. I uzdrawiająca porcja najczystszej miłości do drugiego człowieka. To scementowało mnie z nim na zawsze. Sakramentalne „tak” było tak surreálną formalnością, że momentami wydawało się zbyt płytkie wobec tego, co czułam.



Czasem go nie lubię.

I mam dość.

I chcę być osobno.

Ale Kocham.

Stanowczo za mocno.



Wróst we mnie za głęboko, żebym umiała inaczej.

Do trudów macierzyństwa i z mózgiem wypranym biznesowym *empowermentem*, podeszłam z myślą: „Skoro chcę, żeby moje dzieci były samodzielne, szczęśliwe i spełnione, to MUSZĘ im pokazać, jak to się robi na przekór wszelkim przeciwnościom. Skoro chcę, żeby moje dzieci potrafiły kochać tak z serca, a nie dlatego, że wypada lub trzeba, to potrzebuję walczyć o ten autentyczność każdego dnia. Również w naszym związku”.

Przecież one nie uczą się od naszego gadania.

Chłoną za to poprzez naśladowanie.

Codziennie.

To był czas, kiedy połykałam biografie kobiet. Nie przypuszczałam, że za właściwie każdą współczesną ikoną kryje się mrok trudnych doświadczeń, często niesprzyjającego zaplecza, trudnego dzieciństwa lub podcinającego skrzydła otoczenia. Łączy je jednak **olbrzymia wiara we własne siły i gigantyczne poczucie odpowiedzialności za własny los.**



Każda z nich osiągnęła to, w co wierzyła. Właśnie dlatego, że uwierzyła.

Ja też postanowiłam uwierzyć.

To był świadomy wybór.

Tradycyjna końcówka roku z pytaniami zaciekawionych znajomych ze studiów dała mi dodatkowy bodziec do działania. Robiłam wtedy coś tak egzotycznego (biznes online? A co to właściwie jest?), że darowałam sobie tłumaczenie. Ale poczucie, że uśmiech nieschodzący z mojej twarzy wyraźnie dawał im znać, że jest w tym coś z magii, mówiło samo za siebie.

Potwierdzały to również odwiedziny podczas warsztatów. Te przemiłe okazje do wspólnych spotkań dodatkowo utwierdzały mnie w przekonaniu, że robię coś atrakcyjnego nie tylko dla mam, ale również i koleżanek, szukających oddechu od godzin przed komputerem.

Tradycyjny snowboard na zakończenie roku – tym razem z dwójką maluchów i moją mamą, która pomagała ogarnąć młodszego bałwanowymi konstrukcjami, podczas gdy starsza piłowała szusowanie – miał w sobie coś z beztroskiej przeszłości. Odkryłam, że model biznesowy, który budowałam, może dać znaczne zwiększenie częstotliwości takich wyjazdów. W końcu dodatkowy budżet ochoczo wydawaliśmy na wspólne podróże.

A ten cały biznes online w gruncie rzeczy można realizować z dowolnego miejsca na Ziemi.

Paradoksalnie – ta realizacja kazała nam jeszcze bardziej docenić to, gdzie i jak mieszkamy.



jednym słowem

Jak szydełkiem nie wychodzi, łap za druty.

w skrócie

Skoro sama płatałam coraz bardziej, nie obyło się bez pomocy.

Te same sznurki da się zapleść zupełnie inaczej.

Dlaczego dla niej to takie proste?! Ależ się dużo jeszcze muszę nauczyć!

zawiłość

Czy ja w ogóle lubię, kiedy ktoś otwiera mnie na nowe?

Jak wtedy reaguję?

*Czy uczę się sama, czy od razu szukam kogoś,
kto ułatwi sprawę?*



MASTERMIND



KURS ONLINE



ROZDZIAŁ 10

O... nowych
schematach...
... i nie zawsze
kolorowych włóczkach

Kolejny rok przywitaliśmy w znajomym rytmie.

Niby tacy sami, ale z nowymi postanowieniami w głowach.

Kochałam te drzemki.

Starsza uwielbiała spać. Dwu-trzygodzinne rekordy to była dla niej norma. Synek dołączył w nieregularnym rytmie. U niego to była maksymalnie godzina, ale i tak dawała mi totalny komfort wklekiwania notatek, które całymi dniami przelewałam z płonącej pomysłami głową na malutkie karteczki rozsiane po domu.

Teraz nie mogę sama uwierzyć, że strona WWW wyklikana własnymi siłami, profil na Facebooku, wszystkie posty i wydarzenia promujące warsztaty, godziny wysyłania wiadomości do znajomych z prośbą o udostępnienie, lajkowanie i komentarz, żeby zwiększyć zasięg... że to wszystko działa się w ciągu tych drzemek i wieczorów.

Przy wtórce pochrapywanka, z przerwami na karmienie, klikałam tak swoje marzenia napędzana wiarą, że wszystko jest możliwe, jeżeli tylko zrobię, co mogę.

Po jakimś czasie zżyłam się z tym rytmem.

Drzemka – komputer.

Wieczór – komputer.

Przerwa na pierwsze nocne karmienie – komputer.

Tylko poranki były brutalnie niedospane.

Teraz po prostu nie wiem, jak mogłam tak funkcjonować.

Wierzę, że to nie tylko laktacyjne hormony, ale jakaś wewnętrzna wiara w powodzenie Oplotkowego przedsięwzięcia krzesła ze mnie energię, o jaką teraz trudno byłoby mnie podejrzewać.



Po trzecim dziecku i kilka lat później zarwana noc to dzień zombie i totalna niezdolność do wysiłku mentalnego. Zabieram się wtedy raczej za pakowanie rękodzielniczych boxów do kursów rękodziela online niż za jakiegokolwiek klikanie.

Poranki przy owsiance. Jedno ubrać, drugie ubrać – odhaczone.

Mąż nauczył się sam robić śniadania, nawet te do pracy. Po którejś akcji, kiedy zaspana nie włożyłam w butę nic poza masłem, dał za wygraną.

Wyjść na spacer (bo trzeba minimum raz dziennie). Oczywiście słuchawki z biznesowym podcastem na uszach i notesik w kieszeni – odhaczone.

Zakupy na obiad (raz w tygodniu, żeby w pozostałe dni mieć więcej czasu na ławce i notować pomysły) – odhaczone.

Ogarnąć mieszkanie. Podłoga raz na cztery dni, zamiast cztery razy dziennie (jak Tomcio zacznie raczkować, coś się wymyśli albo się dziecko bogatszą florą bakteryjną zahartuje) – odhaczone.

O! Kosze na zabawki! Świetny pomysł na sprzątanie – zgarniasz wszystko do środka, jak leci, i szlus.

SZYDEŁKOWE!

Racja!

Kolejny pomysł na scenariusz warsztatów!

Obiad (strategiczny gar z siedmioma porcjami do zamrażarki, żeby było na potem. Gotowanie raz w tygodniu weszło mi w krew. Czemu ja na to wcześniej nie wpadłam?) – odhaczone.

Nawet Jacek się nauczył. Już nie przypalał wody na herbatę, ale potrafił mnie uraczyć spontaniczną jajecznicą (o ile nie serwowałam jej przez trzy kolejne dni na obiad). Wpadało też upieczone



przez niego ciasto. Poznańskie rogalie stały się legendą rodzinną. Pizza wjeżdżała regularnie i odobraziłam się na to glutenowe „zuo” na rzecz przyjemnej błogości i czwartkowo-piątkowej tradycji spożywania *junk-food*. Makarony, jednogarnkowe, a nawet rasowe kotlety z ziemniaczkami i surówką wjeżdżały na salony spod męskiej ręki tatki Polki.

Drzemka... AVE!

Klikałam jak opętana. Zero scrollowania kotków na fejsie. Zero podglądania instamamusiek i najmodniejszych śpioszków. Zero dwugodzinnego rozmyślenia, czy beżowa czapeczka, czy miętowa.

Optymalizacja czasu rodzinnego i biznesowego, żeby starczyło doby na jedno i drugie.

Robota paliła się w rękach. Odpowiadanie na maile i studiowanie. Planowanie podcastów do odsłuchania i przerzucanie notatek z całego dnia do komputera. Projektowanie warsztatowych instrukcji i promowanie Oplotek.

I rozmowy z biznesowymi partnerkami.

Spotkania wideo były moim mentalnym domem. **Otoczyłam się kobietami pełnymi pasji, nastawionymi na pracę w kierunku spełniania swoich marzeń.** Osiąganie małych sukcesów stało się naszym celebracyjnym rytuałem. Zagrzewanie do przesuwania granic tego, co w naszych głowach (nie)możliwe, uzależniało.

Coś, co pewnie w normalnym tempie i w towarzystwie wątpliwości oraz kwestionowania, czy mi wypada, trwałoby dekadę, osiągałam w miesiąc, dwa. Dzięki armii marzycielek, które dmuchają sobie wzajemnie w skrzydła.

Ktoś wisi Ci przysługę, bo opiekowałaś się dzieckiem podczas jego wizyty u fryzjerki? BUM! Proś o udostępnianie posta.



Odbierasz dla sąsiadów paczki, bo ciągle jesteś w domu? Nie miej wyrzutów sumienia, kiedy dziecko pójdzie się pobawić na pół dnia, a Ty po prostu złapiesz oddech.

Z zapalem maniaka chłonełam porady macierzyńskie od niedzieciatych i dzieciatych. Wdrażałam w życie. Z wypiekami na twarzy obserwowałam, jak Oplotki zaczynają układać się w coraz bardziej sensowny model biznesowy.



Zapał do kreatywnego odpoczynku eksplodował. Uśmiecham się za każdym razem, gdy wspominam tę scenę. Cały pokój w szarym papierze. Na podłodze ogromne płótno. Lenka w starych ciuchach, Tomek... a wszystko jedno – on zawsze uciapiany od szalonych pomysłów. Stuknięta mama z dwójką maluchów. Malująca obraz zanim pomysł ucieknie z głowy albo milion powodów, dla których „nie warto”, dogoni ją w połowie pracy.

Jacek robił zdjęcia.

Już wtedy łapał mnie w tych dzikich momentach aparatem z komórki. Kiełkująca mężowa pasja do fotografii i budżet płynący z Oplotek miały potem uzasadnić kosmicznie drogi obiektyw w ramach upominku „na firmę”. W ferworze tych fotek łagodniał. Nawet trochę się uśmiechał na ten kreatywny pomost łączący mnie z dziećmi w autentycznej frajdzie spędzania wspólnych chwil.

Trochę było z tym aparatem śmiechu. Odkryłam, że gadżetozą to chyba przypadłość nieuleczalna. Im lepsze aparaty fotograficzne wjeżdżały na pokład firmowych kosztów, tym bardziej wciągałam niechętnego początkowo męża do Oplotkowego szaleństwa.

Nie tylko stopniowo przejmował niektóre obowiązki domowe, żebym mogła popracować, ale doradzał najnowsze sprzęty (tak, to on stoi za tym superkrystalicznym obrazem na moich live'ach albo filmach na YouTube). Jakoś nawet tak mniej marudził.

Warsztaty coraz częściej zbierały komplet uczestniczek. Ja coraz pewniej inkasowałam szalone pięćdziesiąt złotych za udział w spotkaniach. Już wtedy zarabiałam skutecznie na kursach online i traktowałam spotkania w realu jako promocję i przyjemność. Niegodnym wydawało mi się na tym zarabiać.

Plotka o Oplotkach niosła się po mieście.

Popularność warsztatów i coraz większa frajda z rodzinnego czasu w komplecie w końcu zaczęła popychać mnie do podnoszenia cen. Z zadziwieniem obserwowałam, że w ślad za rodzącymi się (w mojej głowie) szalonymi podwyżkami wzrastało zainteresowanie!

Teraz wiem, że **warsztaty po prostu przestały być podejrzanie tanie.**

Szczęśliwym splotem okoliczności, dzięki kontaktom i wielkiej wierze w wartość Oplotkowego przedsięwzięcia, spotkałam na



swojej drodze ludzi, którzy popchnęli mnie ku przełomom...
(Dziękuję, Aga! Jak ja Ci się kiedykolwiek odwdzięczę?!)

Pojawiła się ogromna szansa.

Pracownia.

I to nie byle jaka.

Ponad 130 metrów kwadratowych na poznańskich Jeżycach (dla tych spoza naszego fyrtla: to taka hipsterska dzielnica, gdzie ceny kupna i najmu poszybowały w ostatnich latach jak szalone w ślad za artystyczną bohemą i postępowymi usługami, które zaczęły tam pączkować. Każdy, kto był kimś albo za takiego się uważał, musiał tam mieszkać albo przynajmniej bywać lub wegańsko jadać).

Oczywiście nie stać było mnie na kredyt lokalowy w wysokości półtora miliona. Układ polegał na wlaniu warsztatowego życia w lokal w nowiutkim budynku dewelopera, który dopiero rozpoczął sprzedaż mieszkań w świeżutkim apartamentowcu. Ta parterowa usługa miała stać się nie tylko punktem integracji nowych mieszkańców, ale również sercem dzielnicowego życia artystycznego, dostępnego nawet dla przeciętnego zjadacza chleba.

Świetna lokalizacja (piętnaście minut piechotką od dworca PKP, rzut beretem od Starego ZOO, dwie minuty od przystanku tramwajowego i chwilunię od wszystkich kultowych knajpek z modnym jedzeniem), status stanu surowego zamkniętego (zero podłogi, którą mogłyby pobrudzić zajęcia ceramiki czy malowania na wodzie), wielkie nieoklejone witryny, wpuszczające wzrok ciekawskich nie-na-tyle-odważnych-aby-wejść, dostęp do ogrodowego dziedzińca z placem zabaw, działające ogrzewanie na jesienne i zimowe chłody, woda i kibelek – dawały komfort kreatywnego szaleństwa.

Przygoda zaczęła się w marcu.



To znaczy plany.

Jak na spełnienie marzeń przystało.

Wyobraźnia poszybowała.

„Tutaj będą stoły warsztatowe. Tutaj stanowisko do gigantycznych makram. Tutaj miejsce na kameralną kawkę. Tutaj wielkie płótna i farby do dyspozycji przypadkowych przechodniów. A tam przy wejściu kółeczka i długopisy, i klej! Każdy, kto nas odwiedzi, będzie mógł dodać ze trzy plotki, zapisać je i umieścić na ścianie. Zbierzemy je potem wszystkie do kroniki”.

Do dziś przeglądam te wpisy i uśmiecham się do tych dni.

Trzy miesiące upłynęły na przygotowaniach.

Oplotki to już nie byłam tylko ja.

Poznane podczas warsztatów rękodzieła artystki pozostawały w twórczym pogotowiu. Mistrzynie filcowania, specka od drutów, pasjonatka tkania i czarodziejka biżuterii, malująca na wodzie, makramowa mistrzyni i kolejne, kolejne artystyczne dusze...

Wokół projektu OPLOTKI Pop-up (idea pojawiając się i znikając w pracowni) powstała pierwsza nieśmiała próba sformalizowania twórczego zapału. Ubrałam go w format Stowarzyszenia OPLOTKI. Po niewyobrażalnej (dla artystycznych dusz) papierologii, dokładnie w dniu moich urodzin, radca prawny zadzwonił z newsem sezonu.

Mamy wpis do KRS!

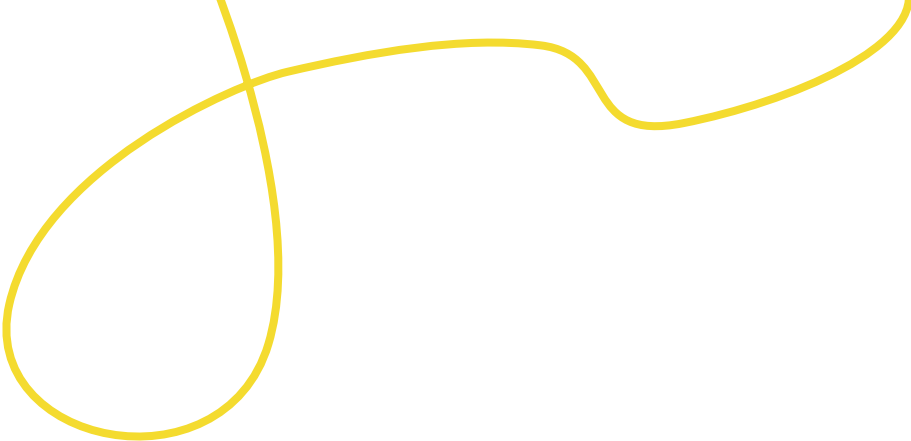
Możemy oficjalnie działać.

Taki urodzinowy upominek od losu.

Przypadek?

Raczej znak.





Teraz widzę, że śmiesznie niski czynsz (ach, te znajomości) i zapłał nowicjuszki dawał mi nie tylko raketowe paliwo do działania, ale pozwalał uczyć się pierwszych realiów stacjonarnego biznesu opierającego się na rękodziele. Mam tu na myśli biznes z fizyczną pracownią, próby tworzenia zespołu, procedur działania, reguł i wytycznych. Zwłaszcza w tym artystycznym środowisku, gdzie na jakiegokolwiek korpokodowanie patrzy się z obrzydzeniem.

Tak, tak, wiem. Te słowa brzmią niemal jak korporacyjna nowomowa rodem z warszawskiego mordoru. Wtedy trochę niechętnie spoglądałam na sztywne ramy kodyfikujące nasze inicjatywy. Szybko jednak przyszło mi się nauczyć, jak bardzo są one potrzebne.

Niezliczone warsztaty rękodzieła. Gościnne artystki z całej Polski. Uczestnicy spotkań od przedszkolaków po seniorów.

Były chwile rozczarowania (tatusiowie podrzucający dzieci pod pretekstem półgodzinnych zajęć na całe popołudnia), wzruszenia (amazonka po chemii, która u nas odważyła się zdjąć perukę) i wielkiej, wielkiej twórczej frajdy (malowanie obrazów, zaplatanie makramowej ścianki, niezliczone kawki i ciacha przy (o)plotkach).

Nie da się tego opowiedzieć słowami. Film na Oplotkowym kanale YouTube też oddaje zaledwie ułamek tej magii. Mogłabym tutaj wtrącić epopeję dygresji, ale to może kiedyś. OPLOTKI Pop-up to co najmniej oddzielna książka. Albo biblioteka.

To wtedy zrozumiałam słowa mojej biznesowej mentorki: „Nie próbuj być najlepsza w swojej kategorii. Twórz kategorię, w której jesteś jedyna”.

To właśnie w poznańskiej pracowni Pop-up czułam, że tworzymy zupełnie nową jakość. Nie tylko warsztatów, ale społeczności, podejścia do rękodzielniczego biznesu i wpływu, jaki on ma na nasze życie prywatne. *Category of one* dźwięczało mi w głowie, kiedy wydatki (a to kartoniki służące jako meble, a to zapasy spożywcze, a to materiały warsztatowe) niewygodnie drapały dno prywatnego portfela. Szczęśliwie fala promocyjnego poruszenia wokół projektu pomagała łątać budżetowe dziury częstymi warsztatami i kursami online.

Coraz mocniej czułam, że pojemność symboliki „O” rozszerza się o nowe kierunki. Zauważyłam, że coraz częściej osoby spoza rękodzielniczej orbity wpadają do naszego ekosystemu po wsparcie. Nie tylko w kontekście osób, które z nami twórczo współpracują, ale coraz częściej w odniesieniu do naszych gości zaczęłam używać analogii ronda. Miałam wrażenie, że każda z nas to trochę takie auto poruszające się po bezdrożach losu. Czasem pędzimy jak na autostradzie, czasem się wlecemy jak po historycznym bruku. Niezależnie od tempa coraz nowsze „fury” zaliczają Oplotkowe skrzyżowanie o ruchu okrężnym. Czasem jest to jedna rundka, czasem nawet kilka okrążeń. Mijamy się, wyprzedzamy, zmieniamy oponę, kiedy złapiemy gumę. Jedno nas łączy – wyjeżdżamy z niego najczęściej w zupełnie innym kierunku. Na swoją własną prostą.

Jednym z magicznych wieczorów była premiera książki Edyty Niewińskiej. Postanowiłyśmy ugościć w naszej pracowni kameralny wieczór autorski. Przy ciepłym świetle świec, wokół mięciutkich włóczek zatopiłyśmy się w sesji pytań i odpowiedzi do autorki. Dałam się na chwilę porwać do świata fikcyjnych, ale jakże prawdziwych bohaterek jej najnowszej powieści. *Pod powierzchnią* stało się nie tylko skojarzeniem z prozą Edyty, ale pączkującym na powierzchnię marzeniem, że może kiedyś ja też mogłabym podzielić się moją prawdą, którą noszę głęboko w sobie, a która umyka w tempie codzienności.

To wtedy obiecałam sobie, że znajdę siłę, aby w końcu kiedyś opowiedzieć perypetie Oplotek. Dwa lata minęły, nim (w końcu) zwalczyłam w sobie perfekcjonistkę i po prostu zaczęłam pisać. To Edyta (nie tylko wtedy, ale i potem) pomogła mi poukładać te strzępy myśli w logiczną całość, którą właśnie czytasz. A armia kobiet wsparła w całym procesie, który doprowadził do finału, czyli powstania tej książki.

Do dzisiaj pamiętam te drobne kadry. Przypinanie do włosów fikuśnych fascynatorów (to takie nakrycia głów rodem z czerwonego dywanu, które pożyczyła nam znajoma rękodzielniczka). W prowizorycznej toalecie pudrowaliśmy nosy, śmiejąc się z tych drzwi w formie makramowej firanki. Ciekawscy przechodnie zaglądali do środka z tęsknotą za tą atmosferą kameralnej bliskości, ciekawej rozmowy, dyskusji bez pośpiechu.

Teraz, kiedy covidowy lockdown spycha takie wydarzenia do przestrzeni legendarnego świata sprzed pandemii, tym bardziej delektuję się wspomnieniami. Pytania Lenki: „To możemy sobie malować, jak będziecie gadać?”. (Wielkie płótna, wszelkie farby, pastele i inne mocno brudzące narzędzia, porozrzucone po wszystkich kątach pracowni, działały na pociechy jak magnes). Puszczono ukradkiem oczko Jacka zza aparatu (jakim cudem on zdążył po pracy skoczyć do domu i przebrać się w ulubione ciuchy?). I to poczucie, że jakimś niesamowitym splotem okoliczności to ja współodpowiadam za to, że ci wszyscy wspaniali ludzie znaleźli się tego wieczora w naszej pracowni.

Gdzieś pomiędzy kolejnymi warsztatami, odświętymi wydarzeniami, przypadkowymi rozmowami powstawały kolejne prototypy Oplotkowych produktów. Ogromne pufki-leżanki, szydełkowe maskotki giganty z bawełnianego sznura, wnętrzarskie akcenty spod wprawnych rąk twórczyń. Z polskich materiałów, w niespiesznym skupieniu, z pozytywną energią zakłęta w każdym z unikatów. Miałam nawet (w końcu) czas na eksperymenty, prototypy (tona nieudanych, żeby powstał ten jeden sukces) i dzierganie ot tak. Dla przyjemności.

To wtedy wydzierałam szalik dla mojej babci.

„Wielka mi rzecz”, pomyślisz...

Ale było w tym coś z symboliki pełnego koła.

Znowu to Oplotkowe „O”.

To babcia obdarowała mnie drutami, szydełkami i włóczkami. Tak (może troszkę nieświadomie) uruchomiła Oplotkową lawinę wydarzeń. Jakże surrealne było wręczenie jej szalika wydzieranego w Oplotkowej pracowni z jakiejś wypasionej włóczki w jej ulubionym kolorze. Ile ciepła i dobrych wspomnień włożyłam w te słupki i frędzle, wie chyba tylko ona.

Pracownię odwiedziła moja mama, najbliższe przyjaciółki. Właściwie każda osoba, która w moim życiu odegrała jakąś znaczącą rolę, pojawiła się choćby na chwilę, żeby zobaczyć i pogadać.

Było w tym coś z podsumowania i snucia wizji na przyszłość.

Nigdy w swoim życiu nie czułam tak bardzo jak wtedy, że **marzenia się nie spełniają, ale spełnia się je samodzielnie:** uporem, wytrwałością i otwartością na ludzi, których los stawia na naszej drodze.

jednym słowem

Nowy schemat nie znaczy, że stary był zły.

w skrócie

Pracownia generuje nowe wzory na dzierganie codzienności.

Nie trzeba nawet za dużo pruć, ale czy starczy włóczki?

Mam czasem ochotę zacząć od nowa.

zawilkość

Wymieniam włóczkę czy pruję całość?

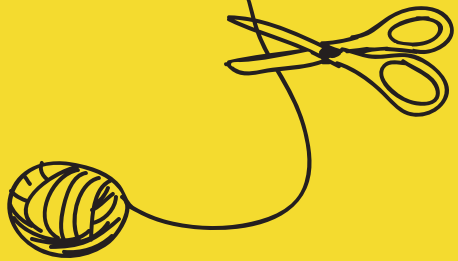
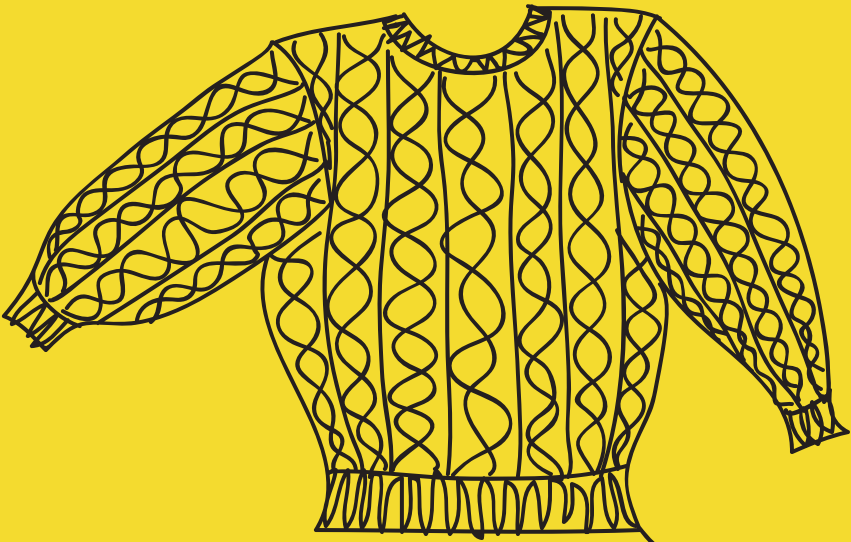
Rzucam się kupować pasmanteryjne nowości

czy buszuję po internetowych bazarkach?

Wolę wypróbowane czy testuję nieznanne?

Jak projektuję swoje nowe schematy?





ROZDZIAŁ 11

O... dzierganiu
razem...
... i osobno

Stowarzyszenie dało mi cenne lekcje.

Entuzjazm i zapał, choć są niezbędne, zdecydowanie nie wystarczą, aby tak ogromne przedsięwzięcie działało bezawaryjnie.

Teraz widzę, jak wiele nauki było jeszcze przede mną. Niby umiałam zarządzać ludźmi. Nijak się jednak miało prowadzenie zespołu zatrudnianych na umowy branżystów w firmie architektonicznej do przewodzenia grupie indywidualistek-rękodzielniczek.

Próby porządkowania naszych działań w formie grafików, cyklicznych zobowiązań i regularnych kalendarzy warsztatów, spotkań czy narad ostudziły kreatywny zapał. Skutecznie też rozczarowały mnie raz za razem. Ja płonęłam misją organizacji warsztatów, zespół coraz częściej potrzebował odpoczynku, dnia wolnego, czasu z dala od pracowni.

Coraz częściej przesiadywałam w pracowni samotnie. Co prawda nie sama, bo przestrzeń wypełniali goście, warsztatujący, przypadkowi przechodnie, koleżanki wpadające na kawę... Czułam się jednak coraz bardziej osamotniona.

Kiedy kolejny raz słyszałam: „Nie mogę być w pracowni, bo MUSZĘ... (i tu wstaw dowolne – dzieci, obowiązki, superpilne inne inności)”, mówiłam, że oczywiście, wiadomo, rozumiem. W środku jednak czułam, że to nie brak czasu czy możliwości, a brak chęci był prawdziwym powodem, o którym nie mówiło się wprost.

Po kilku miesiącach ciągłej nieobecności w domu (całe dnie w pracowni zaczęły już nudzić się dzieciakom i brzydły Jackowi), poczucia, że zmuszam koleżanki ze Stowarzyszenia do dyżurów, warsztatów i obecności w naszej wymarzonej przestrzeni, w końcu odpuściłam.

Projekt OPLOTKI Pop-up zakończył się hucznym wydarzeniem.



Świąteczny targ Oplotki oprószył magią to zaczarowane miejsce. Po raz ostatni zrobiło się gwarno, tłoczno i swojsko. Przez cały dzień sprzedawałyśmy rękodzieło. Po zakończeniu pozostałe prace przekazałyśmy na aukcję charytatywną.

Następnego dnia zaczęło się sprzątanie.

Niby zaledwie kilka miesięcy, ale w mojej głowie lata świetlne przyspieszonego dorastania do biznesu opierającego się na rękodziele. To doświadczenie pokazało, że nawet najczystsza idea umrze, jeżeli w ślad za nią nie pójdzie solidne finansowanie, mądry model współpracy, jasne umowy dotyczące zakresu obowiązków, oczekiwań, potrzeb.

Stowarzyszenie pozbawione fizycznej pracowni przeszło w stan poszukiwania sposobu na redefinicję misji, celu i sposobu jej realizacji.

A ja znalazłam ukojenie poczucia osobistej porażki w podwójnym tempie pracy nad firmą.

Tradycyjne spotkanie ze znajomymi, aby wspólnie podsumować rok, niby było huczne, ale (wyjątkowo) więcej słuchałam, niż mówiłam. Na zewnątrz sukces za sukcesem, od środka poczucie, że gdzieś zaczyna mi brakować kompetencji do pociągania za sobą twórczych ludzi w inny (niż znałam z architektury) sposób. Tamto spotkanie uświadomiło mi, że nie wszyscy wysysamy gen przedsiębiorczości z mlekiem matki (u mnie akurat oboje rodzice skutecznie zaszczepili ten zew przygody, ale przecież nie każdy wzrastał w takim środowisku).

Dążenie do ciepłutkiej stabilizacji też jest OK.

Daje pewną przestrzeń na rozwój w innych obszarach.

Nie znałam takiego pragnienia, ale w końcu zrozumiałam, dlaczego warto pytać, czy aby na pewno wyruszając we wspólną drogę, wszyscy idziemy w jednym kierunku. Może

czasem towarzyszymy sobie tylko na małym odcinku i nie warto namawiać do wybrania tej samej ścieżki na życiowym skrzyżowaniu. Potem ktoś zawsze będzie chciał zawrócić. Podsumowanie roku nauczyło mnie ostrożności. Przestałam zakładać, że jeżeli komuś nie za bardzo po drodze, to powie mi o tym prosto w oczy.

Oczywiście nie wybiło to z mojej głowy zuchwałych wizji i bezczelnych marzeń (to chyba już jest niemożliwe, skoro Oplotkowa trampolina rozpędza mnie w zawrotnym tempie). Skutecznie jednak nauczyłam się konstruować plany awaryjne – zwłaszcza że coraz bardziej zależałam od innych ludzi. Wiedziałam, że sama nie zrealizuję wielkich wizji, ale jednocześnie miałam pewność, że z ekipą „na siłę” będzie jeszcze trudniej. Warto często sprawdzać, czy aby na pewno wszyscy idziemy w tym samym kierunku.

Moment zastanowienia (podczas Wigilii u znajomych) znowu przypomniał mi o całkiem prywatnym marzeniu. Podczas gdy Lenka i Tomek bawili się z przyjaciółmi, których widywali mniej więcej raz w roku, ja wspominałam szalone momenty pieluch i błogie miesiące podglądania na USG nowych istot rosnących pod sercem. Pielęgnowałam to marzenie o gwarnym domu, dużej rodzinie, nieogarniętym chaosie pełnej życia codzienności. O tym tłoku katalizującym konfrontowanie się z własnymi ograniczeniami. Wiedziałam, że zmęczony moją nieobecnością i nagłym nadmiarem tacierzyńskich obowiązków Jacek ma serdecznie dość. Chyba moment, kiedy uroczyście oświadczyłam, że marzę o trzeciej dzidzi na rodzinnym pokładzie, nie był najszcześniejszy.

A może był?

Może nigdy nie nadszedłby lepszy?



jednym słowem

Razem nie znaczy szybciej... Ale razem z kim?

w skrócie

Współtworzenie daje inną jakość.

Czy jest ona możliwa solo?

Czy proces twórczy staje się ważniejszy niż gotowa praca?

zawiłość

Dołączam czasem do wspólnego dziergania?

Wolę inicjować czy pomagać?

Trwam do końca czy zaplatam, póki starczy sił albo zapatu?

*Lubię decydować o kolorze, rozmiarze, splocie ostatecznej pracy,
a może wspieram idee innych najlepiej, jak potrafię?*

A może jednak wolę samodzielne projekty?





ROZDZIAŁ 12

O... kasie
na włoczki...
... rasowe wełny
i skrzypiące akryle

Wraz z projektem OPLÓTKI Pop-up skończyło się coś wielkiego. Bezwrotnie.

Biznes online, niewymagający posiadania fizycznej pracowni, stał się plasterkiem i sposobem na chowanie niewypowiedzianych, trudnych uczuć coraz głębiej. Poczucie, że zaprzepąciłam wielką szansę, nie chciało mnie opuścić, kiedy zaglądałam na strony WWW podsumowujące nasz projekt. Tęskniłam za życiem pracowni. Pamięć stała się mocno wybiórcza. Selektywnie podrzucała tylko te dobre, ciepłe, wzmacniające chwile.

Choć ciągle czułam jakieś takie obrzydzenie do wielomilionowych biznesów online rodem z webinarów biznes-czarodziejów, to jednocześnie obsesyjnie konstruowałam własny model. Czułam, że jedynym powodem, dla którego dziewczyny wykruszały się ze Stowarzyszenia, były pieniądze.

Wiem, brzmi brutalnie.



Prawda jest jednak taka, że oczekiwanie, że ktokolwiek zapłonie taką samą pasją do długich godzin pracy w Oplotkach ot tak sobie, kosztem rodziny, dochodu, rozrywki, było z mojej strony utopią.

Testowałam więc.

Płatne warsztaty – las rąk.

Bezpłatne warsztaty – prowadzących brak.

Płatne projekty – OK, znajdę chwilę.

Bezpłatne działania promocyjne – wiesz, muszę coś tam.

Płatne zlecenia – wezmę wolne.

Bezpłatne eksperymenty – mąż już mi marudzi, sorry, nie mogę. Może innym razem.

Znałam już prawdę, ale ciągle nie pozwalałam sobie na szczerość. Kiedy zakładałam Stowarzyszenie, wierzyłam, że tworzymy je jako niezależne finansowo jednostki. Każda z nas zarabiała – w swojej działalności lub na etacie. Stowarzyszenie miało być poświęcone idei szerzenia bakcyła rękodzieła. Czymś, co pozwalałoby wznieść się poza schemat zarabiania i wydawania, i dać tym spotkaniom jakość pozbawioną finansowych podtekstów. Ale to chyba była opowieść z serii „**idea sobie, a życie sobie**”.

– Wiesz, Aga, ja chyba już nie chcę działać w Stowarzyszeniu. Muszę zabrać się za coś, co przyniesie jakiś konkretny dochód. Już nie mam na to siły i serca.

To było coś, co bardzo potrzebowałam usłyszeć.

Nie mówię tylko o komunikacie.

Potrzebowałam tej szczerości. Jak pustynia wody.



Choć Ania twierdzi, że to ja jestem wulkanem pomysłów, to jednak ona wpadła na najgenialniejszy z nich. (Anię poznałam jako uczestniczkę Akademii rękodzielniczką – czyli programu wsparcia twórców rękodziela, który prowadzę od kilku lat. Bardzo szybko jednak zaczęłyśmy współpracować w ramach Stowarzyszenia Oplotki).

– Wiesz, może pomogę ci w czymś w firmie. Widać, że ledwo zipiesz. Ja spokojnie tego Facebooka ogarnę.

Oj, jak potrzebowałam wtedy tej pomocy. (Ania, nadal potrzebuję! Bez Ciebie tonę w chaosie listy zadań!)

Trochę nieswojo siedziałam na kanapie i przeliczałam ilość metrów sznurka potrzebnego do projektu szydełkowej maty do jogi (do dzisiaj jeden z popularniejszych wzorów, choć tak prosty, że aż głupio mi go nazywać schematem). Wiedziałam, że Ania ogarnia posty tamtego dnia. I komentarze pod nimi też. I nawet wiadomości na Messengerze.

Jakoś nieswojo było (w końcu) odkleić od siebie komórkę. Usiąść z włóczkami (znowu) na kanapie i pogadać z mężem, kiedy dzieci rozplątywały (albo zaplątywały) kolejne metry bawełnianego sznurka.

Pomimo że dochody z kursów online już dawno pozwoliły mi na uzyskanie wsparcia (różne usługi wirtualnej asysty), nie wiedziałabym, co to sen). Dopiero wtedy, kiedy poczułam za plecami również rękodzielnicze *know-how* (Ania szydełkuje i wyłapywała moje twórcze gafy na każdym kroku), **zauważyłam, jak bardzo byłam zmęczona, smutna, rozczarowana i pusta.**

Bezдушny biznes, nastawiony na zarabianie kasy, wykalkulowany na to, żeby najpierw policzyć, co się opłaca, a dopiero później zastanawiać się, czy warto, był światem, do którego nie chciałam wracać. Byłam już **na tym szczycie cyferek puchnących na koncie.** **Zimno tam i samotnie.** Niby bawią kolejne zagraniczne wakacje z rodziną, ale tylko na chwilę. To było wielkie rozczarowanie



drugą stroną medalu, czyli wyidealizowaną, spełniającą marzenie dziecka o zawodzie przyszłości, architekturą. Niby wiedziałam lepiej niż niejeden pan, niby biegałam w tych przysłowiowych szpilkach po budowie i udowadniałam, że się nadaję. Ale w środku coś mi zgrzytało.

No właśnie.

Ciągle komuś coś udowadniałam.

A to panom, że jednak zawodowo "jestem kompetentna".

A to znajomym po fachu, żeby pokazać, że da się cenić swoją pracę lepiej, niż cenią cię na etacie.

A to sobie, że dam radę mimo poczucia, że rozbijam sufit, który mężczyźni nie dotyczy.

Ogromnie mnie to udowadnianie męczyło.

Kazało wiecznie stać na baczność, bez chwili na słabość, na odpoczynek, na bycie sobą...



jednym słowem

Bez budżetu trudno o przyjemne dzierganie.

w skrócie

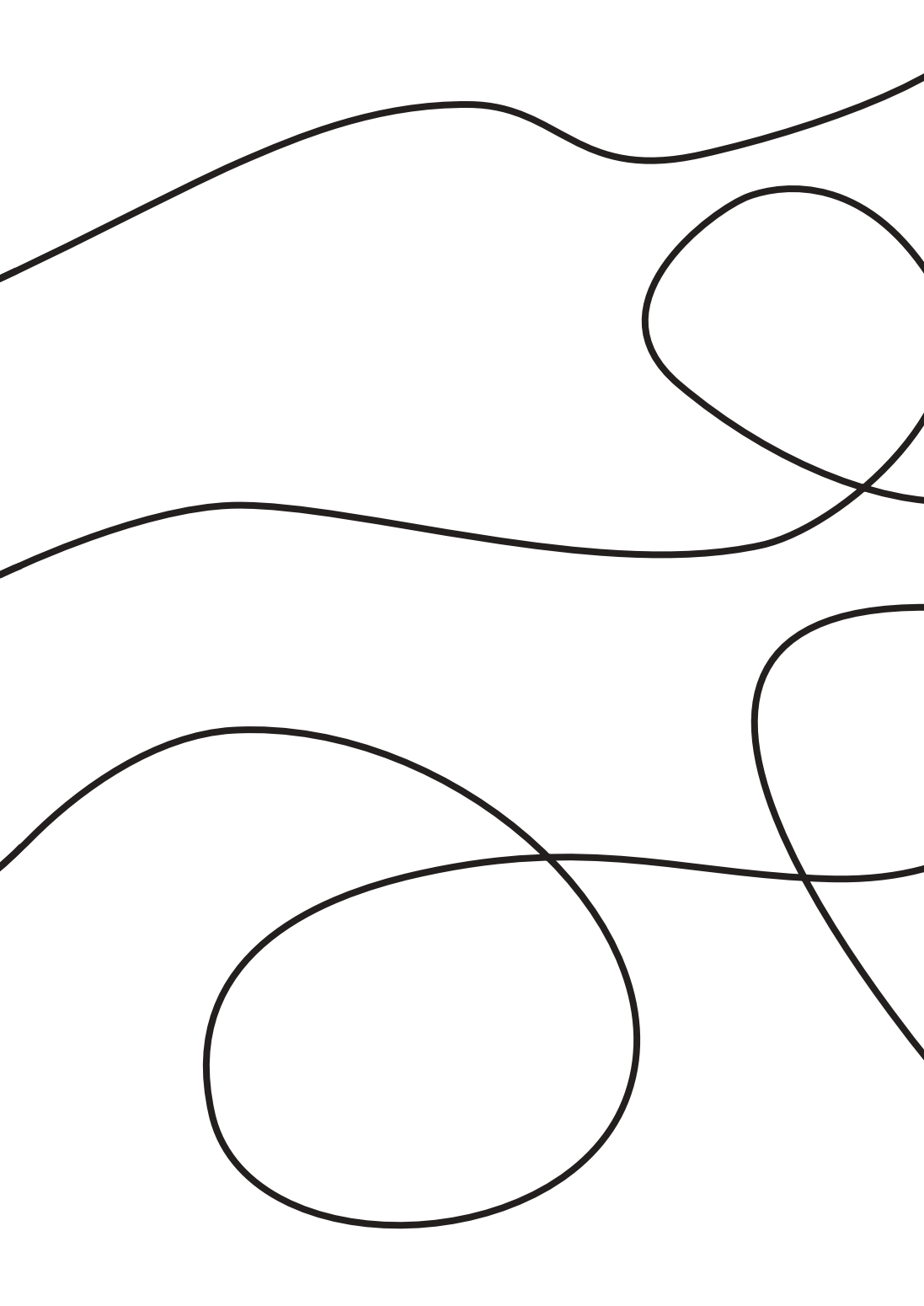
Może i chwilę podziergasz na akrylowych włóczkach, ale czy tańsze zamienniki zastąpią wełnę z prawdziwego zdarzenia?

zawikłość

Czy zawsze wełna jest suuuuper, a akryl blee?

Czy da się czasem skombinować trochę rasowej włóczki bez budżetu?







ROZDZIAŁ 13

O... "Darcin
pierz 2.0"

Tak bardzo chciałam działać w Oplotkach inaczej, że nie dostrzegłam rozwiązań, które miałam przed nosem.

To Ania mi je pokazała.

Przejęła inicjatywę. Zainwestowała czas, uważność.

Niby ja tego w Akademii uczyłam non stop.

A to ona nauczyła mnie tego w praktyce!

Po ludzku zapytała: „Potrzebujesz pomocy?”.

To ona pierwsza dostrzegła we mnie zmęczonego lidera, który powoli nie ma komu przewodzić, bo sam przestaje wierzyć w ideę, którą niesie na sztandarze.

Oczywiście, że potrzebowałam.

Bardziej niż sama przed sobą chciałam się przyznać.

Zaczęłam od nowa definiować swój biznes.

I Stowarzyszenie.

Niby tak samo, ale inaczej.

Dotarło do mnie, że można dawać, ale mądrze.

Tym, którzy zechcą brać.

I można, a nawet trzeba, prosić o pomoc.

Cały czas uczyłam się pilnie w programie online MBA. Niby świętowałam postępy, ale wszystko działo się tak szybko, że nie miałam czasu nawet się zatrzymać. Była jednak osoba, która pokazała mi, jak wiele się zadziało.



W okolicach drugiego roku nauki zostałam gorącą ambasadorką programu, w którym sama zdobyłam podstawy prowadzenia internetowego przedsiębiorstwa. Trąbiłam o online MBA wszystkim. Kiedy dołączałam do SOMBY (programu online MBA autorstwa Islandki Sigrun, prowadzonego po angielsku i przeznaczonego dla kobiet z całego świata – po więcej odsyłam do artykułu na Oplotkowym blogu: oplotki.pl/somba-co-to-takiego), na pokładzie nie było Polek. Po roku było już nas kilka. Udało się nam nawet założyć kameralną wewnętrzną grupę. Spotykałyśmy się regularnie, aby wspierać się nawzajem w procesie nauki i rozwoju naszych biznesów, ale też, żeby po prostu poplotkować o tych naszych ograniczeniach, które nałożyło polskie wychowanie, kultura, język.

W następnym naborze dzięki mojemu poleceniu dołączyło kilka kolejnych Polek. Pierwszy raz poczułam się jak mentorka i dostrzegłam, jak daleką drogę przeszłam w ciągu zaledwie dwóch lat. Dokładnie w tym samym roku w naszej mastermindowej grupce pojawiła się Kasia (momentami miałam wrażenie, że zna mnie od lat, i to lepiej niż ja siebie samą).

Kiedy podczas naszych spotkań zadawała pytania, dostrzegałam, jak bardzo w ciągu ostatnich lat dojrzałam do prowadzenia biznesu online. Nie przypuszczałam, że będę mogła nauczyć czegokolwiek o biznesie tak samoświadome, dojrzałe kobiety! A jednak znałam odpowiedzi na jej pytania. Znałam też odpowiedzi na pytania kolejnych przedsiębiorczyń, dołączających do piątkowych mastermindów. Tak naprawdę wspólnie docierałyśmy do odpowiedzi... Nie było potrzeby wiedzieć wszystkiego. Stworzyłyśmy przestrzeń, w której mogłyśmy testować, próbować i podejmować kolejne wyzwania. Nasze dyskusje dawały bodziec do działania. Działa się magia!

Kiedy Kasia dopytywała o zawłości, które wydawały mi się takie oczywiste, czułam, że mogę przekazywać swoją wiedzę dalej. Tak jak kiedyś pewna blond kobieta w czerwieni pokazała mi, że istnieje inny sposób na biznes, tak teraz ja mogłam przekazywać tę pałeczkę kolejnej osobie.



To był ten moment.

Przecież mogłam odwrócić się na pięcie i pomyśleć: „OK, tutaj już niczego się nie nauczę, wyrosłam, czas iść dalej”. Mogłam również dojść do całkiem uzasadnionego wniosku, że czas zmienić otoczenie i gonić za następnym biznesowym celem. Mogłam zostawić mniej doświadczone koleżanki i pognać do grona tych, od których będę się dynamiczniej uczyć. Zgodnie z biznesowym *know-how* gnać do bazy na tak zwany kolejny etap.

Kolejny raz jednak wygrały plotki... Oplotki.

Przyjemność spotkań, świetna atmosfera wzajemnego wsparcia i ogromna wymiana energii i kompetencji owocowały kolejnymi przełomami. I choć tutaj nie było ani cienia rękodzieła (to były typowo biznesowe mastermindy), idea kameralnego networkingu była żywa, jak nigdzie indziej w moich biznesowych relacjach. Często w trakcie tych spotkań dziergałam coś pod stołem. To jeszcze bardziej pomagało mi się skupić i kreatywnie dyskutować.

Pierwszy raz poczułam niesamowitą moc dawania z siebie wszystkiego.

Tak bez podtekstów i ukrytego interesu.

Tak do dna i z przejmującą szczerością.

Odkryłam, jak bardzo uczymy się od tych, których (niby) my mamy uczyć.

Odkryłam, że nie istnieje dla mnie jednostronna relacja nauczyciel – uczeń, raczej krąg, w którym wymiana wiedzy, kompetencji, doświadczeń krąży między nami.

Między wierszami tych spotkań znalazłam Oplotkowe „O”. Zrozumiałam, że uczymy się z każdej interakcji, a początkujące



koleżanki konfrontują mnie z podstawowymi pytaniami, które warto zadawać sobie regularnie, nie tylko na początku działalności.

Wszystkie czerpałyśmy garściami. W tych spotkaniach kryła się moc nie z tej ziemi.

To dzięki nim nauczyłam się projektować programy wsparcia dla twórców rękodzieła oparte na intuicyjnym dobieraniu uczestników tych grup. To tam dyskutowałam nad najdrobniejszymi szczegółami kursów. To dzięki koleżankom z mastermindu rozumiałam, jak ważne jest ciągłe konfrontowanie założeń swojego biznesu i wracanie do podstaw. To dzięki tym spotkaniom dotarło do mnie, że skala nie z tej ziemi (ach, te mity biznesu online) nie jest konieczna w działalności online i również tutaj da się zachować relacje międzyludzkie, kameralne grupy.

Nieustannie zadawałyśmy sobie pytania: „Komu służyć? W czym i dlaczego pomagam? Dokąd zmierzam? O czym marzą moje klientki? Czy nasze marzenia są podobne? Czy idziemy w tym samym kierunku? Czy to już moment, że poradzą sobie bez mojego wsparcia? A może teraz to ja uczę się od nich?”.

Oczywiście kusi przywiązywanie do siebie klientów, aby bez końca kupowali nasze produkty, ale czy tak naprawdę o to tutaj chodzi?

No właśnie! Im więcej osób opuszcza Oplotkowe gniazdo (znowu kółko!), tym bardziej czuję, że dobrze zaprojektowałam ścieżkę dla naszych klientek.

W końcu nam wszystkim chodzi o ten epicki moment, kiedy rozwijają skrzydła do samodzielnego lotu.

Całkiem prywatnie – potrzeba mi było takich świeżych przyjaźni. Kogoś, kto przeszedł niejedno w życiu, ale mimo tego świadomie wybiera wejście w nowe relacje z otwartością dziecka, z uważnością i uskrzydającą wrażliwością. Może to była magia rozmowy z nowymi osobami bez masek z przeszłości, a może



po prostu niesamowita umiejętność budowania bezpiecznego środowiska, w którym poznawałam najtrudniejsze emocje, bo paradoksalnie biznesowo mówiłyśmy jednym głosem. Wspólne spotkanie podczas konferencji w Zurychu z koleżankami z mastermindowej grupy dało magię również w prywatnym życiu.

Byłam wtedy w siódmym miesiącu ciąży.



130

SKORO Z DWÓCH KOLORÓW WĘÓCZKI DA SIĘ
STWORZYĆ TYLE KOMBINACJI KOLORYSTYCZNYCH,
TO JAK WIELE DAJE ICH CHOĆBY KILKA?

jednym słowem

Współtworzenie albo wspólne tworzenie to inna jakość.

w skrócie

Jeden plus jeden to dużo więcej niż dwa...

zawiłość

Czy zawsze?

Skoro z dwóch kolorów włóczki da się stworzyć tyle kombinacji kolorystycznych, to jak wieledaje ich choćby kilka?





ROZDZIAŁ 14

O... najbardziej
skomplikowanej robótce
jaką dotychczas
dziergałam

Czułam obawy Jacka, jak zimny oddech na karku. Niby bojkotował trochę mój utopijny obraz gwarnej, sielskiej rodzinki, ale jednak czuwał nade mną, kiedy poranne (a właściwie całodobowe) nudności nie odpuszczały przez bite trzy miesiące. Nie odpuścił opieki nad ciężarną, kiedy już w nieco lepszej kondycji nadrabiałam biznesowe zaległości pierwszego trymestru. Wystąpił w roli podstawowego konferencyjnego wsparcia, kiedy w siódmym miesiącu bicia pod moim własnym, nieco zaspanym, sercem małego serduszka wybrałam się do Zurychu.

Przeszliśmy wspólnie mikroewolucję.

Najpierw złość, że to się stało. Jak my sobie poradzimy?! Czasowo?! Finansowo?! Ledwo zipiemy z dwójką! Niby wielka frajda, ale szybko przyćmiona strachem, napięciem i presją.

Potem odrętwienie i przykrość: „No trudno, będziesz musiała zostawić te swoje biznesy i zająć się dzidzią, JA z etatu nie zrezygnuję, żeby pomagać!”. Pierwszy trymestr był krytyczny. To na Jacka spadły obowiązki związane z dwójką starszaków, a jego kurczący się urlop upłynął na odliczaniu do mojej pełnej mocy operacyjnej w codzienności.

Następnie pojawiły się światełka w tunelu: „No dobra, pokaż to USG... Dziewczynka? O, będzie 2-1! Kolejna córunia tatusia nadchodzi!”.

Aż w końcu bezchmurne niebo, kiedy regularnie przynosił kwiaty tak po prostu, żeby powiedzieć „kocham cię” lub „dziękuję, że jesteś” bez okazji. I kiedy starszaki zostały u dziadków po Bożym Narodzeniu, my czekaliśmy, aż przenoszona Sarcia w końcu pojawi się na świecie z tymi stópkami jak guziczki.

À propos kwiatów... Sama parę razy kupiłam też przepiękne wiązanki, tak bez większej okazji, więc Jacka popisowe tulipany ze spożywcza musiały przejść niewygodny *upgrade*...

Jest w tych kwiatkach coś symbolicznego.



Dawanie sobie frajdy na co dzień, zamiast czekania na księcia z szarmanckim gestem, regularnie przypominało mi, że jestem odpowiedzialna za swoje szczęście. Oczywiście (ku mojemu zaskoczeniu!) przepiękne bukiety zaczęły wpadać do wazonu nie tylko od mojej biznesowej mentorki (która ma uskrzydlający zwyczaj dziękowania pocztą kwiatową za wspólne inicjatywy. Szczególnie wielką wiązką doceniła moją osobistą obecność w Zurychu, pomimo że już z całkiem dużym brzuszkiem ledwo zipsałam na scenie), ale i od męża. I to nie różyczki z promki w spożyczu na Dzień Kobiet.

Autentyczne bukiety, takie z kwaciarni.

Bez okazji.

A może z okazji tego, że w końcu dawałam sobie tyle radochy ciekawą pracą, frajdą z macierzyństwa, fajnymi przyjaciółkami i biznesowymi partnerkami, że uśmiech nie schodził mi z twarzy i przechodził na coraz bliższą relację z Jackiem? On chyba czuł, że biznes i zaganiane dni zbliżają mnie do niego z coraz większą szczerością, otwartością i ciekawością.

Potrafił zaskoczyć nie tylko bukietem, ale coraz częściej codziennymi rzeczami: jajecznicą, ciastem albo fajną zabawą z dziećmiakami.

Kiedy sama zatroszczyłam się o codzienne małe szczęścia, one zaczęły płynąć strumieniami zewsząd!

Finanse dały nam duży oddech od zmartwień. Czułam, że obawy o trzecią pociechę i wszystkie konsekwencje jej skutecznego zagospodarowania naszego grafiku powoli topniały. Pewne spotkanie mastermindowej grupy przyniosło przełom również w tym obszarze. Jedna celna rozmowa nauczyła mnie zupełnie inaczej patrzeć na energię pieniędzy w Oplotkowej działalności. Podczas rozmowy któraś z nas rzuciła: „Jak ktoś ma interes, to bardziej się stara!”. Wydawało mi się to takie... interesowne,



wyrachowane i nieszlachetne. Kiedy jednak rozłożyłyśmy to na czynniki pierwsze, doszłyśmy zgodnie do wniosku, że to prawda stara jak świat i nie ma się co na nią obrażać, tylko mądrze zaprzęgać do własnej działalności.

Niesamowicie **jak jedna celna uwaga może zmienić trajektorię lotu**. Nowa idea dała mi do myślenia, postanowiłam z tą refleksją przyrzeć się Stowarzyszeniu i Akademii Rękodzielnika. To był ten moment, kiedy pojęcia „tanio” i „drogo” zamieniłam na **„cena to tak samo ważny element programu, jak każdy z jego modułów czy rozdziałów”**.

Kolejne ze spotkań Stowarzyszenia szczególnie utkwiło mi w pamięci. Punktualnie zaczęłyśmy umówioną rozmowę wideo. Trzecia pociecha skutecznie kopała w żołądek, wierciła się pod serduchem i jej coraz bardziej odczuwalne ruchy zwiastowały rychły schyłek czasu na spokojną pracę, kiedy dwójka starszaków w przedszkolu.

No dobra, co z tego, że ja przyszłam punktualnie (pięterowo ustawione spotkania online mocno mnie dyscyplinowały, ale też po prostu nie znoszę spóźniania się), skoro tutaj ktoś jeszcze coś MUSI zrobić, ktoś jeszcze kończy śniadanie, ktoś dzisiaj jednak nie ma czasu... Szkoda, że nie mógł dać znać z wyprzedzeniem.

Bez użalania. Cierpliwie czekałam, aż wszyscy dołączą, aż dokończą te swoje zadania i będziemy mogli zacząć cotygodniowe spotkanie stowarzyszeniowe.

Czytałam punkt po punkcie przygotowaną notatkę. To był mój rytuał prowadzenia jakichkolwiek internetowych spotkań.

Dobre wieści, osiągnięcia, propozycje, pytania. I cisza. W powietrzu wisił brak chęci, znudzenie i niewypowiedziana pretensja. Czekałam na konkret. Pół godziny, czterdzieści minut. Marnowałyśmy czas na mało znaczące detale, tematy zastępcze. Czułam, że ta rozmowa ciąży i odbiegałyśmy od głównych wątków. Kolejna godzina mijała na bezproduktywnym blablaniu.



Znowu nie dochodziłyśmy do żadnych konstruktywnych pomysłów na dalsze działanie. Dużo słów „zrobmy”, „a może lepiej ...”. Nikt jednak nawet nie próbował wziąć odpowiedzialności za realizację niby-planów i niby-projektów. Czułam, że rzucałam wiedzę jak grochem o ścianę. Ciskałam entuzjazm w czarną dziurę. Słoń w pokoju. Czułam, że wszystkie go widziałyśmy. Nikt o nim nie mówił wprost.

Skończyłam to męczące internetowe spotkanie minutę po czasie.

Musiałam.

Właśnie zaczynałam dyżur na żywo w Akademii.

Sekundy na zmianę webinarowego pokoju i inna, równoległa rzeczywistość.

Długopisy w dłoniach. Notesy z pytaniami w gotowości, odblokowane mikrofony i prześciganie się w dyskusji. Czysta przyjemność. Kobiety, które brały garściami z mojej głowy i wdrażały ochoczo do swoich rękodzielniczych biznesów. W takim samym punkcie finansowym jak członkinie Stowarzyszenia. Nie. Wróć. Na minusie – przecież one zainwestowały w czas ze mną kilka tysięcy złotych.

Członkostwo w Stowarzyszeniu było bezpłatne.

Akademia – płatna.

Bingo!

Cena Akademii nie pozbawia możliwości pracy ze mną. Sprawia, że zwrot z inwestycji jest obowiązkiem, a każdą chwilę wyciska się jak cytrynę.

Energia pieniądza wzmagą efekt siłki. Jak jest w parku za free, to prawie nikt nie ćwiczy, ale jak zapłacisz abonament za trzy miesiące z góry, to już ochoczo wyciskasz siódme poty.



A po ludzku: jak coś dostajemy za darmo, to tego nie doceniamy!

Tak bardzo chciałam być wyjątkowa, że nie dostrzegałam oczywistego.

Nie zmuszę nikogo do biznesowego sukcesu. Żeby zarabiać na rękodziele, trzeba podjąć decyzję, że chce się tego dokonać. Inwestycja jest namacalnym cyrografem. Głupio wydać tyle pieniędzy na program i nie skorzystać z jego wartości.

Niby proste, ale potrzebowałam wielu męczących spotkań Stowarzyszenia, aby to wreszcie do mnie dotarło. Nie da się pomagać, jeżeli ktoś nie zdecyduje samodzielnie, że chce taką pomoc brać.

Pieniądze są symbolem wymiany energii. Im większe, tym dłużej będziesz się zastanawiać nad decyzją, tym bardziej zdecydowanie powiesz swoim marzeniom „tak”. Lub „nie”.

Uzbrojona w tę wiedzę wkroczyłam na kolejne stowarzyszeniowe spotkanie tydzień później. Dużo czasu na regenerację zasobów energetycznych.

Słyszałam żal z odcieniem wyrzutu: „Nikt nie zapisał się na mój warsztat”.

Dla członkiń Stowarzyszenia puchnący Facebook Oplotek był do dyspozycji. Mogły na nim promować swoje warsztaty i w ten sposób przedsiębiorczo zarabiać. Ja też korzystałam – obserwujący wybierali spośród różnych technik. To był znak, że Oplotki to nie tylko ja i szydełkowanie, ale może w przyszłości też inne dziedziny rękodzieła dla ich twórczej rozrywki. Dziś ten format już nie istnieje. I za chwilę powiem Ci dlaczego.

Spotkanie trwało. Nie miałam siły. Zadałam tylko jedno pytanie: „A co zrobiłaś poza wrzuceniem wydarzenia na Facebook, żeby ktokolwiek się zapisał?”.

Długa pauza.



„Może promowałeś wydarzenie w grupach tematycznych? Może wysłałeś informację do osób, które nas w wiadomościach o taki temat warsztatu prosiły? A może poprosiłeś kilka znajomych, żeby pokomentowały post z informacją o warsztacie, żeby te zasięgi trochę wzrosły? A może udostępniłeś przynajmniej u siebie? A co z portalami zbierającymi bezpłatnie poznańskie atrakcje na dany miesiąc? Dodałeś? To przecież trzydzieści sekund roboty...”.

W odpowiedzi cisza.

No tak... Nie było na to czasu. Przecież Aga dopali reklamą, transmisją na żywo i „zrobi się samo”. Promocją jest zbędna, bo jak masz coś superwartościowego, to i tak Cię znajdą...

Akurat.

Ale nie wchodźmy w ten zaulek.

Przyznam, było mi przykro.

Czułam, że to dziecinada.

Potem zrozumiałam, że to też moja odpowiedzialność. Zakładałam, że jak komuś zależy, to się przyłoży i wykaże inicjatywę. W końcu **tutaj motywujemy się do przedsiębiorczości**, prawda?!

No właśnie. Czy to było takie oczywiste dla drugiej strony?

Długimi miesiącami byłam lokomotywą, buchającą pozytywną energią, entuzjazmem i tonami pomysłów. Dlaczego teraz, kiedy to ja potrzebuję wsparcia, nasze role miałyby się odwrócić?

Oczekiwanie, że bez komunikowania wprost, każdy wie, co chciałabym w zamian, było niesprawiedliwe.

Jak mogłam oczekiwać wzajemności od kogoś, kto rozpoczynał



przygodę, by czerpać, uczyć się, inspirować i otrzymywać mój niezłomny entuzjazm?

Czy miałam prawo zmienić reguły gry i nagle oczekiwać tego samego od drugiej strony?

Czy miałam prawo odpocząć i liczyć, że na mnie poczekają?

Pewnie każda z nas ma w sercu zupełnie inną odpowiedź. Dopiero z czasem zaakceptowałam, że to naturalne. **Każda z nas ma prawo do swojej prawdy.**

Kaganiec „wypada”, „trzeba”, „nie wypada”, „nie wolno” mocno mnie uwierał. Kolejne spotkania wysysały ze mnie energię. Chowałam się w bezpiecznej skorupce. Niby czułam, że coś nie gra, ale nie potrafiłam zapytać wprost, co dokładnie. Czułam, że Stowarzyszenie usycha, a z naszego więdnącego drzewa opadały kolejne liście. Porywał je wiatr. Nie spadały bezpiecznie blisko, by ogrzać korzenie w zimie. Owoców pracy było coraz mniej. Tak bardzo chciałam, aby to, co dawałam z siebie konsekwentnie długimi miesiącami, zaczęło wracać. Tak bardzo tego potrzebowałam.

Trzecie dziecko na pokładzie. Dwójka przedszkolaków i maleństwo. Najcenniejsze chwile wspomnień. Dlaczego miałabym ich (i siebie też) okradać ze wspólnych momentów? Czy mam prawo tak po prostu poprosić o stowarzyszeniowe wsparcie tylko dlatego, że sama je dawałam wcześniej? Czy mam prawo do odpoczynku? Czy cała ta mozolna praca nie zamieni się w pył?

Był tylko jeden sposób, aby się przekonać...



jednym słowem

Z krótkiego sznurka długiego szala nie udziernam.

w skrócie

*Zasoby jednego motka nie wystarczą na kilka robótek.
Jeżeli nie masz pod ręką alpaki, zacznij od akrylu, ale pamiętaj,
żeby nie oczekiwać miękkości wełny.*

zawikłość

*Bywa, że wybieram zamiennik. A może to wcale nie ja trzymam
szydełko, może już dawno oddałam je w inne ręce?
Czy to mi służy? Czy robię to świadomie?
Czy wełna zawsze jest najbardziej miękka?
Czekam na wymarzoną włóczkę czy testuję nowe
schematy wraz z tą, która jest aktualnie dostępna?*





ROZDZIAŁ 15

O... dzierganiu
bez schematu...
... albo poza
dawnymi schematami

Poziom niewyspania i tempo codzienności oddalały nas z Jackiem od siebie, zamiast zbliżyć. Mijałyśmy się. Nawet nie tyle fizycznie, co mentalnie. Ja – wpatrzona w małe oczka, on coraz bardziej zmęczony. Triathlonowe plany znowu umykały w nieregularności odpoczynków, stresie treningów, jeżdżeniu do pracy i z pracy. Zawirowania w starym biurze pokazały, że miał dookoła siebie ludzi, których mylnie traktował jako przyjaciół. Nowy rozdział zawodowy ekscytował go i przerażał, a ja nie miałam tyle czasu i uważności, ile pewnie wtedy ode mnie potrzebował. Ja też oczekiwałam wsparcia, dobrego słowa, przysłowiowego poklepania po plecach za popisową rolę potrójnej mamy i jednocześnie biznes-żylety. Kiedy brakowało takiego małego gestu z jego strony, zawsze działało się coś trudnego, niewygodnego, nieodwracalnego w moim biznesie. A może to ja po prostu traciłam czujność, a moja uwaga była skupiona w innym, bardziej egoistycznym, prywatnym miejscu?

W takich momentach biznesowe niepowodzenia bolały podwójnie.

Zamykaliśmy się na siebie. **Coraz bardziej równolegli niż spleceni. Dzieci pomiędzy, nie obok. Biznes coraz bardziej kosztem życia, zamiast odwrotnie.**

(Znowu) pomógł nam wyjazd. To zabawne, że czasem musimy przejechać tysiące kilometrów, aby odnaleźć siebie w tym samym domu. Wizyta u naszej wspólnej znajomej, która pokładami bezinteresownej miłości w sercu wypełniła braki całej naszej piątki, wprowadziła nas w niewygodne zakłopotanie. Kiedy rozpieszczała nas duńskimi przysmakami, podczas wspólnych kolacji zobaczyliśmy siebie jej oczami.

Mamy wszystko!

Z nudów wymyślamy sobie wirtualne problemy.

Ja z poczuciem, że jego „zima” to kara za kolejne macierzyństwo. On z poczuciem, że lata poświęcone na sportowe wyczyny toną w dziecięcym lukrze z mojej winy. Tak myślałam.



A ona – tak otwarcie akceptująca nas z całym bagażem marudzenia (specjalność Lenki), rozlanych soków (to Tomcio), małych szpileczek słownych (mężusiu), przyklejonego uśmiechu (winnam) i ryku nocnej przelanej pieluchy (to najmłodsza).

Coś w nas wszystkich wtedy pękło (i to nie była osłonka outdoorowej pięknej świecy, którą Tomcio roztrzaskał przy pierwszym kontakcie, na tarasie nowego domu koleżanki, ku naszemu zakłopotaniu). Wszyscy potrzebowaliśmy zobaczyć siebie w oczach kogoś obcego, żeby docenić to, co mamy.

Tak fajnie było **pobyć sobą przy innych**. Bardziej nawet niż na co dzień.

Tak już zostało po powrocie.

Spychane na potem trudne rozmowy po prostu musiały wypłynąć w wielogodzinnej samochodowej ciszy śpiących nieletnich. Jedno „szkoda, że już musimy wracać” zamienione na „cieszę się, że wracamy do domu” powiedziało więcej, niż mogliśmy wtrącić pomiędzy zbędnymi słowami.

Potem nie było idealnie, ale tak krzepiąco – stopniowo coraz lepiej. Jacek pomagał, kiedy już nie dawałam rady. Czasem nawet zanim poczułam się strasznie zmęczona. Dzieci to czuły, bo złagodniały i dawały nam coraz więcej uścisków pomiędzy obowiązkami. Nie było łatwo. Ale czuliśmy, że kierunek obraliśmy zdecydowanie inny niż samotność w (rodzinnym) tłumie.

Równolegle firma eksplodowała.

Jest coś w potrzebie równowagi. Niepowodzenie idei Stowarzyszenia dało mi paliwo rakietowe do biznesowych działań w ramach twórczego kolektywu specek różnych technik rękodzieła. Kiedy Ania, o której już Ci wcześniej wspominałam, wskoczyła na firmowy pokład, duch wspólnoty w firmie wydoroślał. Do wirtualnych asystentek dołączyła prawdziwa rękodzielniczka. Dopiero teraz zespół do zadań specjalnych był



gotów na konkretne biznesplany. Zimne kalkulacje, nanizane na gorącą misję zarażania bakcylem rękodziela i wspierania w tym innych twórców, złąły się w jedną logiczną całość.

I najcenniejsze.

Pojawiła się szczerłość.

Czasem niewygodna, spowalniająca, dająca dodatkowe rozkminy, ale i oczyszczająco-odświeżająca i buchająca kreatywnością rozwiązań dla kolejnych przedsiębiorczych wyzwań.

Jakież to symboliczne. Oplotki powstały w totalnej kontrze do bezdusznego biznesu, polegającego na zimnym rachunku zysków i strat, a to właśnie taki sposób okiełznania szalonego pomysłu stowarzyszeniowego stał się fundamentem wyzwajającego sukcesu.



Osoba, która czytała bez słów moje nieme wołanie o pomoc podczas stowarzyszeniowych spotkań, stała się prawą ręką w biznesowych zadaniach. Idea stowarzyszeniowego pomagania innym twórcom okazała się paradoksalnie bardziej żywa w biznesie.

Oczywiście pojawiły się momenty bolesne. Zapraszałam konkurencję do współpracy, a w zamian otrzymywałam butne „spuszczenie na drzewo”. Inni podkradali pomysły. Robiłam sobie wyrzuty, że trzeba było zaufać intuicji i wdrażać tę szaloną wizję, zamiast gadać o niej na prawo i lewo. **Ducha pomnażania przez dzielenie się** trenowałam w sobie jednak niczym mój mążu pływackie tempo (nie odpuścił tych triathlonów – wstawał o piątą rano, żeby potrenować).

Duża firma zamawiająca setki warsztatów rękodziela postawiła kropkę nad „i”. Jak na ironię zbiegło się to w czasie z okresem pandemicznego salta naszej rzeczywistości.

Chyba wszyscy zapamiętamy ten marzec. Wnukom będziemy opowiadać o tym, gdzie byliśmy, kiedy ogłoszono pierwszy lockdown. Paskudztwo z innego kontynentu, które wydawało się być tylko wzmianką w wiadomościach, nagle nabrało niebezpiecznie realnego wymiaru i było tak bardzo obok nas. Sąsiad, koleżanka, dziecko na placu zabaw stali się nagle uosobieniem zagrożenia, strachu o bliskich.

W ciągu kilku tygodni problemy typu: „Jak powiedzieć pani, że nie mamy już miejsc na najbliższą sobotę i możemy zaprosić na kolejny warsztat za dwa tygodnie” zamieniły się na: „Wszystkie warsztaty odwołane. Odkręcamy umowę najmu kolejnej pracowni”. I co teraz?

Oczywiście to moja perspektywa. Mogę sobie tylko wyobrazić, co w takim momencie czuła branża eventowa, gastronomiczna albo właściciele agroturystyk. Mój mąż mimo chwilowego zachwiania i home office’u dosyć szybko wrócił do biura (siedział sam w pokoju, a dojeżdżał rowerem, więc wszystkie przepisowe odstępy były zachowane).

Nie potrafiłam się odnaleźć. Choć kursy rękodzieła i warsztaty online były już od kilku lat w ofercie Oplotek (raczej jako produkt dla tych, którzy nie mogli dojechać na stacjonarne spotkania albo chcieli ciekawej kontynuacji), nie mogłam zmusić się do ich promowania (a wiedziałam, że wynagrodzenia dla dziewczyn z zespołu są niezmiernie potrzebne), aby ratować topniejący budżet. W marcu wszyscy zastygliśmy w bezruchu, czekając na to, co będzie dalej. To wtedy trafiłam w strategiczną dziesiątkę.

Wiem, teraz to zabrzmiałoby jak najlepszy ruch rekina biznesu, ale wtedy po prostu zaufałam intuicji. Pozwoliłam sobie improwizować. Nie miałam nic do stracenia. Z dnia na dzień połowa Oplotkowego biznesu przestała istnieć. Warsztaty stacjonarne zniknęły z grafiku. Pierwszy raz na taką skalę i z taką pewnością **byłam po prostu sobą.**

Kiedy wszyscy siedzieliśmy w domach, zamartwiając się o dziadków i rodziców, a nasze dziecko z wypiekami na twarzy



odrabiało ZOOM-ową matematykę, wiedziałam, że nie jesteśmy sami. Czułam, jak bardzo potrzebowałam skupić myśli na czymś dobrym, lekkim, pozytywnym. Wiedziałam, że to, co robimy w Oplotkach, jest na wagę złota.

Zaczęłam od codziennych (do dzisiaj zastanawiam się, skąd miałam na to energię) live'ów na Facebooku. Po prostu się uśmiechałam, mówiłam (sobie), że będzie dobrze, że nie warto się martwić. Czułam, że skoro nie mamy wpływu na to całe szaleństwo, możemy odzyskać poczucie sprawczości, panując nad sobą. Dzieliłam się tym, co robię, żeby nie zwariować z dziećmi (całą trójką) w domu. Podśmiechałam się z mężowskiego nieogarnięcia w home office (gacie od piżamy i koszula do biura podczas służbowych *calli* przejdą do historii) i czułam się (paradoksalnie) coraz silniejsza. Im więcej z siebie dawałam, tym więcej czerpałam.

Im bardziej starałam się dać błysk optymizmu naszej Oplotkowej społeczności, tym bardziej pomagałam sobie. Dobre słowa wracały multiplikowane podziękowaniami kobiet po drugiej stronie. Pojawiło się przekonanie, że skoro szydełkowe dzierganie uratowało mi psychikę w czasie (zamknięcia) macierzyńskiego, to musi w tym być patent do wykorzystania w pandemicznej niepewności. Nie pomyliłam się.

Bezpłatne warsztaty rękodzieła online stały się przystanią. Rozmowa (w końcu) o czymś innym niż wyścig po szczepionkę, nieprzygotowanie liderów do przewodzenia w kryzysie, brak przygotowania na to, czego nie jesteśmy w stanie przewidzieć.

Skoro nie można było wychodzić na zewnątrz, coraz śmielej zagłębiałam się do środka. Doszukałam się pokładów optymizmu, o które nie podejrzewałam siebie w obliczu takiego kryzysu. Jednak (jakimś cudem) tam były. Okazały się bezcennym towarem deficytowym.

To pomogło przetrwać pierwsze miesiące. Jednak zasoby na firmowym koncie kurczyły się nieubłaganie. Na przekór



rzeczywistości generowałam zadania dla powiększającego się zespołu Oplotek – czułam, że to właśnie teraz warto dawać innym pracę, zarobek, zajęcie myśli. Wiedziałam, jak sama tego potrzebowałam.

Kiedy „rozmrzozili nas” latem 2020 i tłumnie ruszyliśmy nad bałtyckie plaże, odważyłam się nawet przeprowadzić jeden stacjonarny warsztat makramy.

Zaprzyjaźniona pracownia ceramiki. Maseczki, odstępów ponad dwumetrowe. Pustka. Niby tak samo, ale inaczej. Niby ten sam scenariusz, ale nie było już w tym ani grama dawnej magii. Nie było śmiechów przy kawie i ciachu (nie ryzykujemy), zabrakło uścisków na do widzenia (kto odważy się tak narażać), mówienie z maską na twarzy zniekształcało słowa, parowało okulary, zabierało uśmiech.

Tak długo czekałam na ten moment, by w końcu wrócić do normalności. Nadszedł. I stał się dotkliwym dowodem na coś, co troszkę podskórnie czułam...

Nie ma już powrotu do normalności.

Czeka nas nowa norma.



jednym słowem

Czasem spontaniczna twórczość jest lepsza niż najlepszy schemat.

w skrócie

W pandemii niekoniecznie sprawdzają się wypróbowane schematy. Zanim sprujesz całość, przyjrzyj się swojej pracy, może z tej włóczki da się jeszcze coś wydźierać, może nie trzeba wcale aż tak dużo pruć...

zawikłość

Lubię wymyślać nowe wzory?

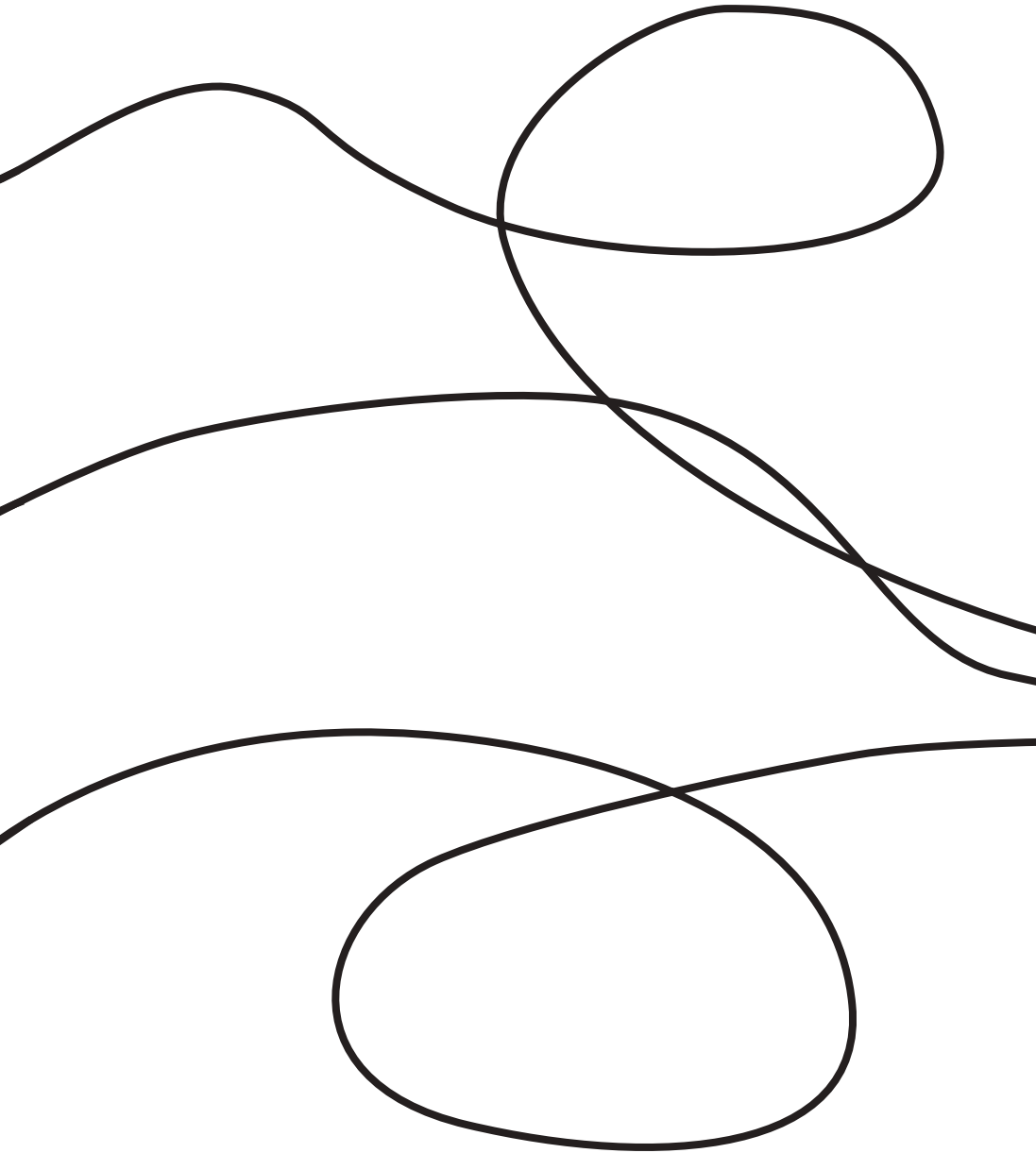
Czy schematy, które wcześniej opanowałam, pomagają tworzyć nowe?

Czy warto współtworzyć schemat, który ma służyć właśnie mi?

Czy ten sam schemat może służyć wszystkim?

Wielu? Wybranym?







ROZDZIAŁ 16

O... moich
włóczkach...
... całkiem fajne kolory
znalazłam gdzieś
tam na dnie

Normalność, jaką znamy, przepadła.

Bezpowrotnie.

Wiem, wiele pracowni rękodzielniczych w momencie, kiedy piszę te słowa (marzec 2021), działa. Ja ciągle nie potrafię. Wtedy (koniec lata 2020) wiedziałam, że uciekam do przodu. Oplotki nie będą w stanie w najbliższym czasie wrócić do magii spotkań na żywo. Nie toleruję półśrodków. Postanowiłam powalczyć o online.

Po wakacyjnej przerwie (Stowarzyszenie) firma działała na pełnych obrotach. Zazwyczaj wakacje to podwójnie intensywny czas, dlatego stowarzyszeniowa pauza co roku pozwalała mi nadganiać biznesowe dziury. W tym czasie tworzyłam i testowałam nowe kursy dla twórców rękodzieła – w 2020 roku był to kurs „Pokochaj wycenę rękodzieła”. Koniec lata zaskoczył mnie zleceniem warsztatów online dla dużego klienta.



Z wielkim entuzjazmem przywitałam taką okazję (płynność finansowa). Wiedziałam, że firma jest na to przygotowana. Spokojnie dałabym radę z zespołem. Jak zawsze jednak zaproponowałam włączenie się w dochodowy projekt koleżankom ze Stowarzyszenia. Moje zdziwienie nie miało granic. Większość z nich nie chciała zaufać rzeczywistości online i na przekór wszystkiemu zadecydowała się poczekać na kontynuację warsztatów stacjonarnych. Wtedy jeszcze nie było wiadomo, że za chwilę czeka nas druga fala.

Irracjonalnie to przeczuwałam.

Nie wiem skąd, ale wiedziałam, że powrotu do „normalności” po prostu nie będzie.

Czułam, że zawiodłam jako liderka. Gdzieś po drodze musiało zadziać się coś, co sprawiło, że koleżanki wołały pójść własną drogą, nie ufając, że dzielę się z nimi właściwie gwarantowaną strategią ratunku dla warsztatów handmade w pandemii. Zapytałam wprost: „Kto chce prowadzić ze mną warsztaty online? Wierzę, że damy radę wszystkie się z tego utrzymać – Stowarzyszenie może działać online”.

Zabrakło chętnych.

Zebrałam się więc na odwagę i po raz pierwszy oznajmiłam: „Potrzebuję więcej oddechu. Zabieram się z pełnym zaangażowaniem za prowadzenie warsztatów online. Całą sobą wierzę, że to przyszłość. Autoryzuję więc wszystkie Wasze decyzje, ale po prostu nie uciągnę bezproduktywnych spotkań przez kolejne trzy miesiące. W tym czasie będę pracować nad przeniesieniem wszystkiego, co jeszcze nie zostało przeniesione, do online’u. Wierzę, że po chwili oddechu ruszymy z nowym pomysłem na siebie”.

Wiedziałam, że to jest największy **sprawdzian zaufania**.



Wiedziałam, że skoro tyle razy pozwalałam stowarzyszeniowym koleżankom wyłączyć się z działania i odpocząć, a potem czekałam na nie z otwartymi ramionami, to sama też na to zasługuję.

Z ulgą i uskrzydłona entuzjazmem, przekonana, że po trzech miesiącach wrócę, abyśmy wszystkie z energią wymyśliły Stowarzyszenie na nowo, zabrałam się za najbardziej szalony i pracowity okres Oplotkowej firmy. Mocno wierzyłam, że zatęsknimy za sobą i z nowym duchem podejmiemy do misji wspierania się w rękodzielniczej przedsiębiorczości.

Oszczędzę Ci logistycznych detali, ale nie odmówię sobie nakreślenia kontekstu tego, co działo się w ciągu tych szalonych trzech miesięcy w firmie Oplotki. Historii starczyłoby na trzy lata. Tempo szaleńczego rollercoastera sprawdzało moją wytrzymałość psychiczną na każdym kroku.

Oczywiście boxy rękodzielnicze (pełne materiałów do zrobienia danego tematu warsztatowego) i kursy rękodziela online (makrama, szydełko i minikursy innych technik) nagle zaczęły cieszyć się gigantyczną popularnością. Zamknięci w domach z powodu pandemii pogodziliśmy się z tym, że wyjścia na miasto albo obiady ze znajomymi trzeba odstawić na półkę. Zabraliśmy się ochoczo za rozwijanie twórczych pasji podczas coraz dłuższych jesiennych i zimowych wieczorów. Oplotki były na to gotowe. Oj, jak bardzo gotowe!

Jako firmowy zespół byliśmy głodne tych zakupów. Studiowane w Online MBA facebookowe reklamy w końcu przynosiły rekordowe sprzedaże. Nowi fani dołączali do społeczności w takim tempie, że pojedyncze imiona i twarze zlewały się w ogólny portret umęczonej dziećmi kobiety, zmęczonej domową samotnością nastolatki, tacierzyńskiego hipstera, który postawił na wspieranie partnerki, kiedy sam stracił pracę i w końcu mógł podłubać makramowe bransoletki z córką. Pozytywnie zakręcenii, skupieni na szukaniu czegoś dobrego w tym całym covidowym wariactwie, ludzie ze wszystkich stron internetów.



Kwitłam.

Mimo ciągłego strachu o bliskich (chemia szwagra, dziadek w szpitalu), mimo nerwówki w domu (60 m² dla pięcioosobowej rodziny to bliskość ekstremalna), mimo prognoz, że gospodarka spowolni tak, że ludzie już niczego (poza papierem toaletowym) nie będą chcieli kupować, Oplotki szalały!

Kolejne warsztaty online sprawiały, że pokój najmłodszej córki zamienił się w minimagazyn i centrum pakowania (wciąż bałam się wynająć jakąkolwiek pracownię w tych czasach, a i tak musiałabym pakować sama, bo minimalizowanie kontaktów międzyludzkich było priorytetem). Kurier podjeżdżał większym autem, żeby zapakować dostawy paczuszek, trafiających do uczestników szydełkowych sabatów.

Kolejne członkinie Oplotkowego ekosystemu łąpały zlecenia „uzdrawiania” skołatanej pandemią psychiki warsztatami handmade. Zlecałam tkactwo, filcowanie, robienie kosmetyków i malowanie paznokci, a także wiele, wiele innych technik, których sama ochoczo się uczyłam. Były nawet handmade pierogi i kiszonki! Zaplątały się gdzieś w fazie eksperymentalnej kolejnych scenariuszy warsztatów online.

No handmade korporacja.

W pełnej krasie.

Z całą rodziną na pokładzie.



jednym słowem

Czemu dostrzegamy te szarawe włóczki na dnie koszyczka dopiero wtedy, kiedy wszystkie inne już są zużyte?

w skrócie

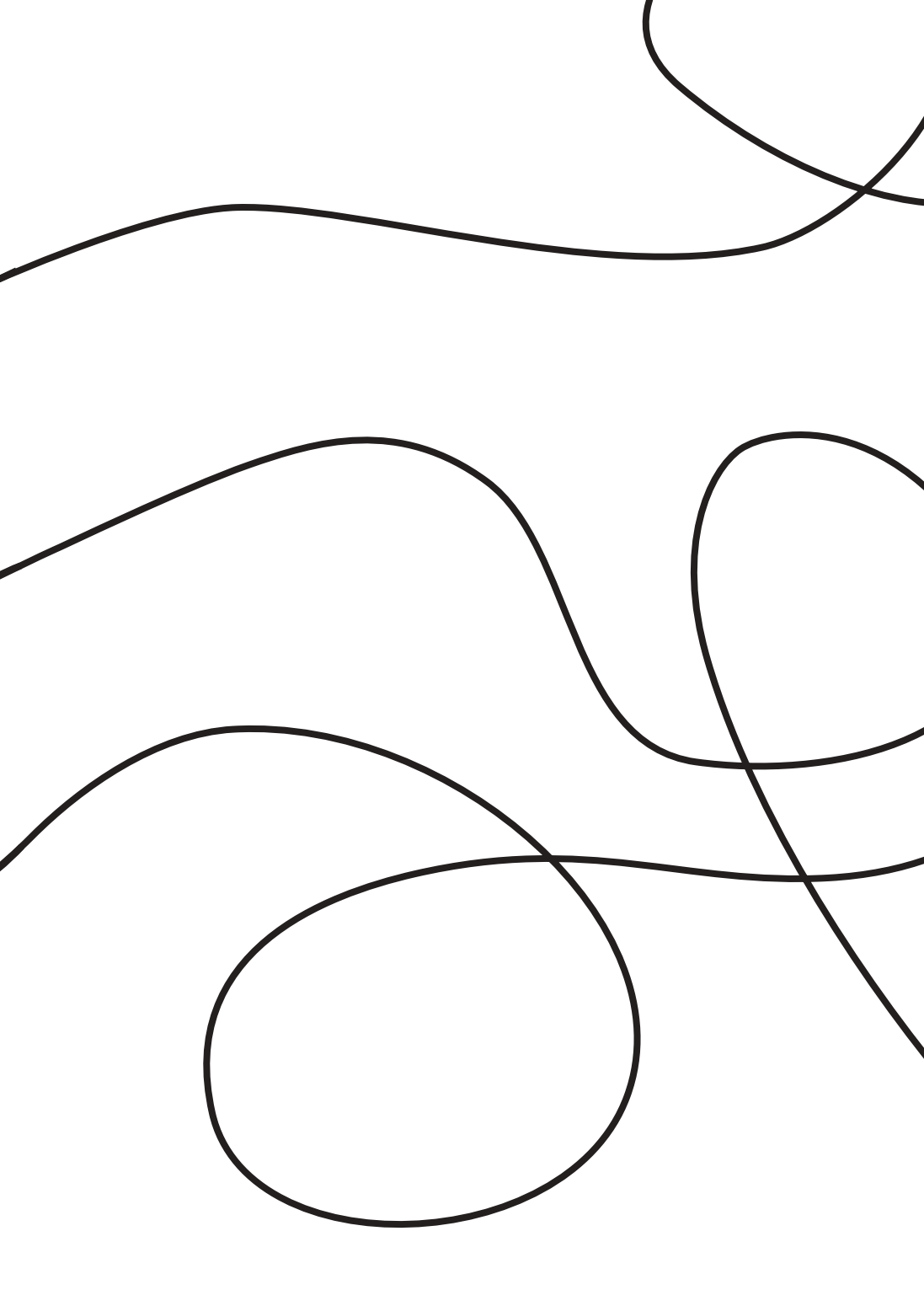
Może i nie dostrzegałam tego, co miałam ciągle przy sobie, ale w końcu – lepiej późno niż wcale.

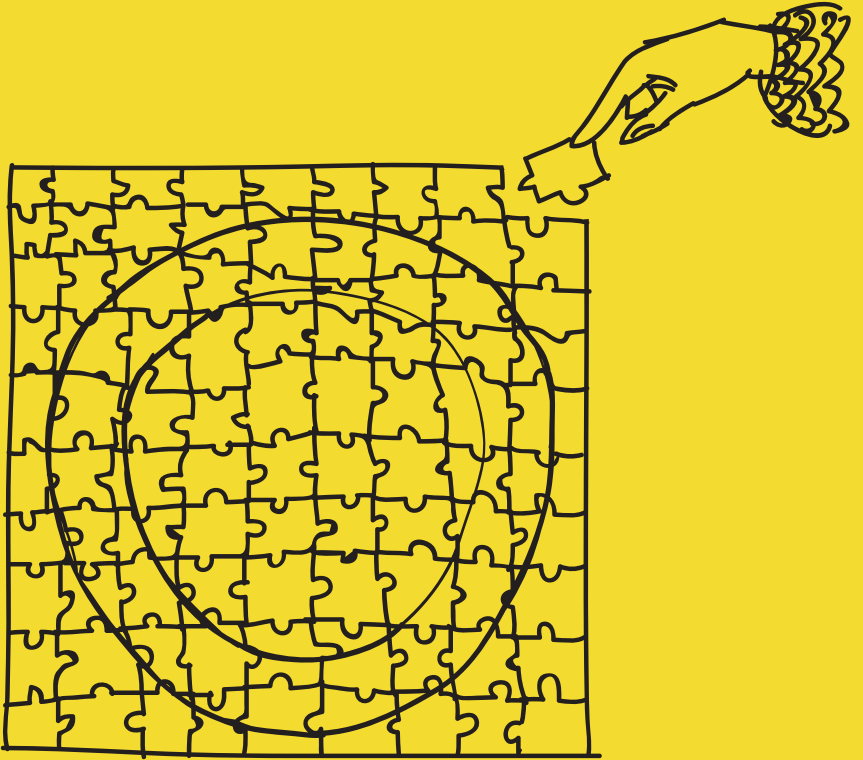
zawikłość

Czy gdyby nie te wszystkie zużyte motki, dostrzegłabym szarości na dnie?

Czy czasem potrzeba popłatać kolorowe wetny bezpowrotnie, żeby sięgnąć po szarości?







ROZDZIAŁ 17

O... tych momentach,
kiedy odkładasz robótkę
na dno szafy...
... i o innych, kiedy znowu
po nią sięgasz
z nową energią

Rękodzieło online kwitło. Zespół osób mniej i bardziej związanych zawodowo z marką Oplotki rósł, a ilość pracy skutecznie dostarczała roboczogodzin zwłaszcza tym z nas, które nagle przejęły rolę żywiciela rodziny.

Pamiętam ważną dla mnie rozmowę z bliską koleżanką z mastermindu. Jej niesamowita umiejętność patrzenia głęboko w serce pozwalała mi zaglądać w takie zakamarki siebie, których bałam się, wstydyłam i nie akceptowałam. To niesamowite, jak bardzo możemy rosnąć, kiedy otoczmy się osobami, które akceptują nas dokładnie takimi, jakie jesteśmy. **Możemy sobie pozwolić na ściąganie kolejnych masek.**

To ona uświadomiła mi, że nie muszę sobie i światu udowadniać, jak jestem dobra, dźwigając ciężar Stowarzyszenia. To ona uświadomiła mi, że mój biznes pomaga twórcom rękodzieła o wiele skuteczniej niż ślepe rozdawanie siebie, gdzie tylko się da.

Podczas jednego z mastermindowych spotkań zadała mi proste pytanie: „Po co ci Stowarzyszenie?”.

Z wielkim zaskoczeniem odkryłam, iż wydawało mi się, że „do pomagania innym twórcom rękodzieła”. Kiedy jednak powiedziałam to głośno, zrozumiałam, że to tak naprawdę firma Oplotki realizuje ten cel! I to o wiele, wiele skuteczniej!

Oczywiście kiedy Stowarzyszenie powstawało, byłam w zupełnie innym punkcie i moment startu był ogromnym skokiem ze świata „ogarniam swój biznes” do „pomagam innym ogarniać biznes”. Ale teraz?

Jak mogłam winić kogoś, że nie chce wzrastać w moim tempie?!

Może nie każdy chce *słów* w rytmie turbo?!

Czy ja kiedykolwiek zapytałam, czy aby na pewno po dwóch latach wspólnej drogi nasze cele ciągle są takie same? Moje



nagle ogromnie urosły, stały się bardziej bezczelne, zuchwale się rozpanoszyły po internetach... A ich cele? Może niekoniecznie rosły równolegle. Miałam nieodparte wrażenie, że wiosłujemy w przeciwne strony i dlatego ta łódź tkwi niezmiennie na środku oceanu.

O, jak potrzebowałam tego mastermindowego pytania!

Odpowiedź zaskoczyła mnie z niesamowitą mocą. Poczułam, że doszłam do ściany, która jest tak blisko, że przestałam ją dostrzegać!

Przecież nie tylko skutecznie zarażam pozytywnym bakcylem rękodzieła (boxy rękodzielnicze, kursy rękodzieła online, warsztaty rękodzieła na żywo), ale również daję praktyczne narzędzia do rozwoju biznesowego dla tych twórców, którzy już są gotowi wyruszyć na wyprawę po swoje marzenia (e-booki, kursy online o wycenie i zamianie hobby w biznes, Akademia Rękodzielniczki, w której pracujemy już nad konkretnymi modelami rękodzielniczego zarabiania). Dzięki temu zasięg Oplotek rośnie w ogromnym tempie! To już nie tylko ja! To ARMIA twórców, którzy dzielą się patentem na samotność, pęd codzienności, nadmiar ekranu, nudę z dziećmiakami.

Niby wiedziałam od początku, dlaczego Oplotki to mój najcenniejszy, najbliższy sercu projekt. Sukcesy finansowe potwierdzały tylko intuicyjne poszukiwanie wartości w tym, co robię. Z podziwem notowałam miesięczne przychody, które przewyższały niejedną roczną fakturę, którą wystawiałam klientom za czasów architektury. Oczywiście kosztów było i jest co niemiara, ale mimo wszystko – było coś burzącego finansowe sufity w oglądaniu tych cyfr, które generował biznes oparty na szydełkowych plotkach.

Patrzyłam na to i nie mogłam uwierzyć, że wszystko dzieje się naprawdę.

Nie wiem, czy znasz takie uczucie, kiedy zrobiona na bóstwo

wpadasz na wesele przyjaciółki, bawisz się z tymi pięknymi ludźmi, patrzysz zazdrośnie na najzgrabniejsze nogi, najfajniejsze fryzury, przystojniaków i piękności, a potem myślisz sobie: „O rety, ale tutaj nie pasuję, ja nie jestem taka (i tu wstaw dowolne – zgrabna, fajna, rozrywkowa, popularna, błyskotliwa)”. A potem oglądasz zdjęcia i myślisz sobie: „O, całkiem fajnie wyszłam! Jakoś tak nie odstaję! Nawet pasuję do tej grupy pięknych ludzi. Ja też jestem fajna”.

Często tak się czułam podczas spotkań z biznesowymi partnerkami. Podziwiałam je na całego, porównywałam się do nich, przeglądałam w ich sukcesach jak w lustrze. Jedna zmienia życie przez rozmowy sięgające głębin duszy, druga potrafi zadać tak celne pytanie, że tydzień zbieram się do odpowiedzi na nie, każda z nich to ucieleśnienie klasy, stylu i elegancji, wycucia, które po prostu chłonę jak gąbka.

Profesjonalistki w każdym calu! Rety! Gdzie ja tutaj? Taka ja?

One przecież zmieniają innym ludziom życie!

Dopiero wtedy, kiedy odważyłam się przyznać, że czuję się taka malutka, wielka tama pękła.

Dostrzegłam, że Stowarzyszenie dawało mi irracjonalne poczucie, że pasuję do grona kobiet, które tak mi imponują. Działaczek, aktywistek, idealistek, które żarem działań zmieniają świat. Dopiero biznesowe koleżanki pokazały mi coś, co miałam przed nosem i czego tak długo nie dostrzegałam!

To mój BIZNES realnie zmienia ludziom życie!

To warsztaty rękodzieła pozwalają się ludziom spotkać i po prostu pogadać, kiedy coraz bardziej okopujemy się w swoich obozach.

To dzięki spotkaniom Oplotek znajdujemy w końcu coś, co nas łączy, a nie dzieli! Choćby to były wspomnienia szydełkowych

wieczorów z babcią albo zajęcia ZPT (pamiętasz jeszcze te zajęcia praktyczno-techniczne?) z podstawówki.

To rękodzieło pomaga wyłączyć rozkrzyczany plastikowy świat, kiedy potrzebujemy pozaglądać we własne serce i głowę i być sami/same ze sobą, choć – paradoksalnie – dzięki byciu razem z innymi.

No i wreszcie...

To biznesowe wsparcie uskrzydla kolejne kobiety do spełniania marzeń o rękodzielniczym biznesie! Samodzielnie, bez oglądania

się na księcia na białym rumaku vel sponsora, albo kogoś, kto zrobi to dla nich / za nie.

Dzięki energii pieniądza z dobrodziejstwa korzystają tylko ci, którzy świadomie podejmują decyzję wejścia do tego świata. Inwestycja w siebie staje się niczym symboliczna inicjacja w świecie odpowiedzialnych, odważnych decyzji i walki o własne szczęście.

To przemeblowanie w mojej głowie dojrzewało długo i kapało małutkimi momentami. Nagle układanka drobniutkich puzzli, tak pieczołowicie rzeźbionych przez lata, zaczęła składać się w jeden spójny obraz. Jak za dotknięciem magicznej różdżki.

Wierzę, że Ty też masz czasem takie wrażenie, że nic nie działa, że Twoje wysiłki idą na marne.

Rozumiem, co czujesz...

Teraz łatwo jest mi o tym mówić, ale zanim wszystko w magiczny sposób wskoczyło na swoje miejsce, czułam się dokładnie tak samo. Jedyne, czego pragnęłam, to rzucić wszystko i schować się pod kocem (koniecznie własnoręcznie dzierganym, wełnianym). Jeżeli też się tak czujesz, **odpocznij, ale się nie poddawaj!** Pozwól sobie na moment zatrzymania dla nabrania sił i idź dalej – w SWOIM własnym kierunku.



jednym słowem

Warto czasem się zatrzymać.

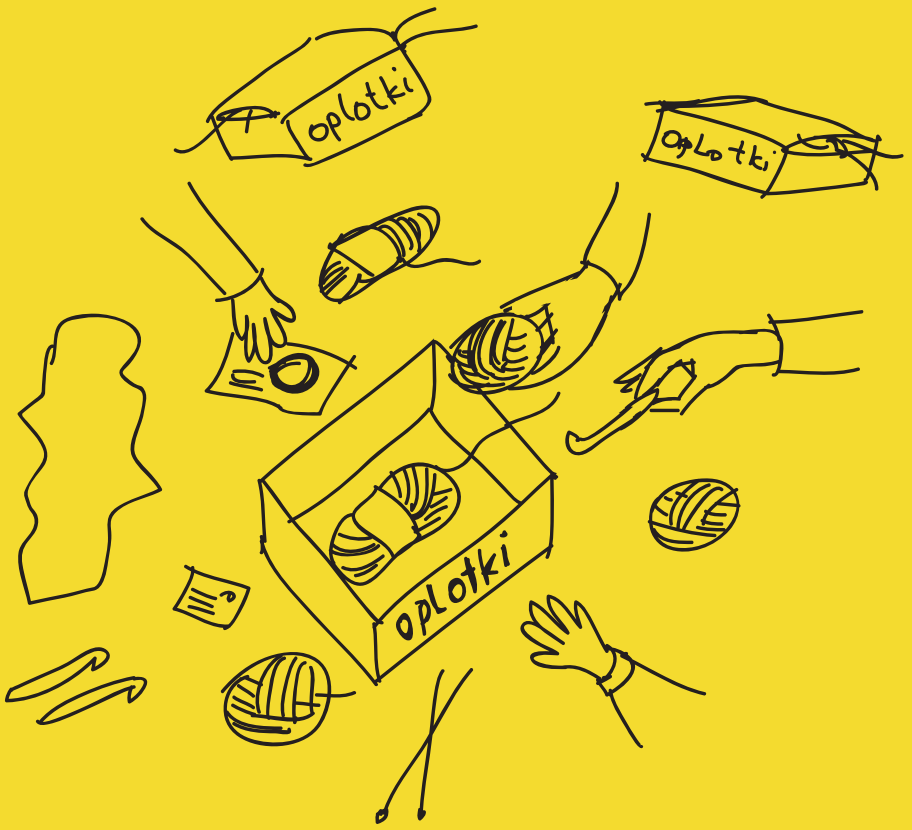
w skrócie

Czasem, kiedy odłożysz robótkę na jakiś czas, wracasz do niej z głową pełną nowych pomysłów.

zawikłość

Czy wtedy warto zacząć nową robótkę, czy lepiej odpocząć?





ROZDZIAŁ 18

O... dzierganiu
dla niedziergających...
... i niedzierganiu
dla dziergających

Zlecenie warsztatów rękodzieła od dużej korporacji dodało mi skrzydeł. Zapewniło stabilność finansową dzięki cyklicznym i superlicznym warsztatom dla pracowników, ale też uświadomiło, że świat wielkich firm, które demonizowałam jako maszyny pozbawiające przestrzeni do poszukiwania siebie, okazał się wylęgarnią rękodzielniczych (i nie tylko) talentów.

Och, jak mylny miałam obraz korporacji – jak ta jedna współpraca pokazała, że można świetnie współtworzyć nowe standardy.

Panie, szukające w warsztatach wytchnienia od domowych weekendów z rodziną na pokładzie, ochoczo wwały w ducha Oplotek prawdziwą magię. To one pojawiały się na każdym spotkaniu, żeby poplotkować, choć już enty raz wątkowały podobny szydełkowy wzór. To one wymyślały hasztagi na Instagramie, żeby jeszcze łatwiej odnaleźć się w sieci. Wreszcie to one pokazały mi, że takich **kreatywnych dusz na etacie w korpo jest o wiele więcej**. To one otworzyły mnie na ten nowy świat. Osoba odpowiedzialna za koordynację warsztatów z ramienia tej firmy pokazała mi, jak świetną robotę można robić dla ludzi, pracując w dużej korporacji. Myślałam, że z takim sercem da się tylko na swoim. Myśląc o pracownikach dużych firm, miałam przed oczami obraz wypalonych, zmęczonych życiem, smutnych „trybików”. Ale teraz poznałam pełną pasji i empatii, turbocierpliwą tytankę. To ona wyłowiała Oplotki z czeluści internetu i zaprosiła do współtworzonego przez nią świata bardziej przyjaznej, nastawionej na człowieka organizacji.

Nie mam pojęcia, jak ja się jej kiedykolwiek odwdzięczę!

Kiedy podczas kolejnego spotkania z grupą koleżanek z innego biznesowego mastermindu głośno powiedziałam: „Moja firma realizuje misję Oplotki o wiele skuteczniej niż Stowarzyszenie. To na firmie powinnam się była skupiać od początku, zamiast próbować zmieniać świat na siłę!”, po raz kolejny usłyszałam coś, co było mi ogromnie potrzebne.



„Nie! To właśnie doświadczenie minionych dwóch lat dało ci tę wiedzę! Bez tej drogi, nie stanęłabyś na tym skrzyżowaniu.

Pytanie, gdzie pójdziesz dalej z tą świadomością, którą masz teraz...”.

Ja już wiedziałam.

W końcu miałam jasność.

Zastanawiałam się tylko, jak zakomunikować stowarzyszeniowym koleżankom fakt, że nie mam zamiaru walczyć już o zewnętrzne finansowanie kosztem przedsiębiorczego zarabiania. Jak mam ogłosić, że nie wierzę już w mannę z nieba, bo ona biznesowo rozleniwia, i zamiast szukania trwałych rynkowych rozwiązań zaczynamy wisieć na kropłówe zewnętrznym ograniczeń. Jak pokazać, że to właśnie uczciwe zarabianie daje finanse do zmiany świata wokół siebie?!

Oczywiście stowarzyszeniowe projekty wyglądały pięknie na zewnątrz. Sponsor / miasto / instytucja kultury przyznaje środki – dzięki temu warsztaty dla odbiorców są bezpłatne, a dziewczyny ze Stowarzyszenia otrzymują wynagrodzenie za swoją rękodzielniczą pracę przy ich przygotowaniu i prowadzeniu.

Niby fajnie, ale...

Uczestnik bezpłatnych warsztatów to zazwyczaj zupełnie inna osoba niż ta, która za taki warsztat chce zapłacić (wracamy do podstaw biznesowych – klient idealny aka awatar się kłania). Długo nie dostrzegałam brutalnej prawdy – ludzie dzielą się na tych, którzy wiecznie będą szukać okazji/tanioszki/darmoszki i tych, którzy energią pieniądza chcą docenić czyjąś pracę. Uświadomiłam sobie, że choć odnajduję się w każdej scenerii, byle móc dzielić się rękodziełem ze światem, to kocham pracować z tą drugą grupą ludzi.

Warsztaty bezpłatne często musiały wpisać się w narzucony finansowaniem projektu model. Nie było mowy o kameralnych



grupach, jak podczas firmowych warsztatów. Nagle kilkanaście osób spędzało więcej czasu na oczekiwaniu na uwagę prowadzącego niż na tworzeniu. Mała, intymna, pozwalająca na głębokie rozmowy grupa zamieniała się w warsztaty, które spędza się ze sztucznym uśmiechem przyklejonym do twarzy. Najbardziej dotkliwie to odczułam, kiedy w grafiku Oplotek występowały obok siebie płatne i bezpłatne (finansowane z różnych projektów) warsztaty. Uczestnicy mieli problem z wybraniem. Nie wychwytywali, w czym tkwi różnica. I nic dziwnego – chaos komunikacyjny był przeogromny. Z jednej strony bezpłatne, masowe, krótkie i powierzchowne warsztaty dla tłumów (finansowane z projektów), a z drugiej kameralne, intymne spotkania celujące w otwieranie serc i głów – oczywiście płatne.

Nie dało się tego połączyć.

Przynajmniej nie pod jednym szyldem...

A jednak Oplotki (firma) i Oplotki (Stowarzyszenie) to (na zewnątrz) było ciągle jedno i to samo...

Mniej więcej tak wyglądał tok mojego myślenia, kiedy godzinami przekładałam kilometry sznurków w sypialni najmłodszej córki. (Właściwie to już chyba nawet powinnam nazwać rzeczy po imieniu – w minicentrum logistycznym Oplotki, wypełnionym po brzegi firmowymi kartonikami, pergaminem pakowym, naklejkami, ulotkami, sznurkami, włóczkami i akcesoriami do najróżniejszych technik rękodzieła. Pochłaniało mnie ono fizycznie, podczas gdy w głowie rozważałam argumenty na zbliżające się nieuchronnie spotkanie i pomysły na to, w którym kierunku pójść dalej, żeby zamiast projektowej kroplówki finansowej dla Stowarzyszenia, zadbać o trenowanie w nim mięśnia przedsiębiorczości).

Co zaproponować?

Jak to ująć?



Jak to powiedzieć?

Jak zapytać o pomysły dziewczyn?

Jak opowiedzieć te lata świetlne rozmyślań, które działy się w mojej głowie?

Jak zapytać o ich marzenia i plany, skoro już wiedziałam, że niekoniecznie muszą być takie same jak moje?

Jak to wszystko pogodzić?

Jak obrać wspólny kurs?

Przecież nie mogę tak po prostu zaproponować skopiowania modelu świetnie funkcjonującej firmy Oplotki!

Fizyczna praca dawała ukojenie.

Podśmiechujący się do tej pory mąż, niepostrzeżenie zaczął mi pomagać, kiedy zobaczył, że każdy kartonik z porcją materiałów rękodzielniczych, wysyłany do uczestników warsztatów, to namacalna cegiełka budująca domowy budżet. Szczególnie w dobie zachwiania bezpiecznych etatów w czasie pandemii nie było już do śmiechu. Moja praca nagle (w jego oczach) urosła do rozmiarów całkiem poważnej działalności. Może zabrzmi to brutalnie, ale jego miarą był dochód. Moją – realny wpływ na życie innych ludzi. Te dwie krzywe musiały nabrać większej równowagi, żeby i on zrozumiał, że to nie chwilowa macierzyńska zabawa, ale biznesowe dziecko, które wrośnie w naszą rodzinę z czasem, jak trójka naszych łobuzów.

Zawijaliśmy te sreberka jak reklamowy świstak czekoladki.

Dzień za dniem, tydzień za tygodniem.

Przyznam, że było w tych popołudniach coś z rękodziela. Takiego wspólnego, rodzinnego...



Z dumą wypłacałam starszakom wynagrodzenie za ciężką pracę (podawali kartoniki kurierowi, który cierpliwie znosił ich system układania w stosiki podawacze) w zrozumiałej dla nich (i mocno motywującej) walucie Lego. Popołudnia, zwieńczone odgrzewaną trzeci dzień z rzędu pomidorówką, miały w sobie coś z nieziemskiej wspólnoty. Budżet pozwalał nawet na nowe buty biegowe dla Jacka w ramach premii za wyrabianie stu dwudziestu procent normy pakowej.

Znowu mastermindowa koleżanka uświadomiła mi, że chyba tylko ktoś, kto mocno wierzy w to, co robi, spędza sobotnie popołudnie z rodziną, pakując firmowe paczuski cztery godziny zamiast jednej, bo przecież każdy pergamin musi mieć dekoracyjną Oplotkową pieczętkę (tylko rodzice przedszkolaków mogą zrozumieć miłość tych istot do wszystkiego, co może brudzić tuszem).

Chcę pamiętać te momenty.

Łapałam czasem za komórkę i trzaskałam jakąś instafocię, żebym mogła wracać do tych bezcennych wspomnień. Sara płącząca sznurasy w kartonie, Tomek ucinający sznurek pakowy (oczywiście) nie w tym miejscu, gdzie trzeba. Lena rysująca mikroserduszka na pergaminie, co spowalniało proces, ale i dawało mininiespodzianki kreatywnym mamom (pozwalałam jej, wiedziałam, że klientki zrozumieją i docenią, zwłaszcza jeżeli same są mamami). No i oczywiście nieomylny mąż (nawet nie wspominałam mu o dosyłkach szydełek, których czasem zapominał włożyć do paczek). Jego superzooptymalizowany proces rekordowo szybkiego pakowania zawartości kolejnych kartoników nie znosił demotywującej krytyki. Szybko odnalazł się w idealnym przyklejaniu etykiet firmową taśmą: „Zobacz! Jak nakleisz „o” na jednej ściance, a „plotki” na drugiej, to „pl” samo wskakuje na trzecią! Ale super wyszło!”. (Tak zaprojektowałam i kartony, i taśmę, ale przytakiwałam z bananem na twarzy, pełna frajdy, że w końcu złapałam tego bakcyła).



jednym słowem

Zaskoczyła mnie mitosć do rękodzieła wśród nierękodzielników.

w skrócie

TAK! Rękodzieło jest dla każdego..., ale czy przedsiębiorczość też musi?

zawikłość

Czy zawsze musi być tak, że dziergamy dokładnie ten sam wzór?





ROZDZIAŁ 19

O... nierównych
robótkach

Tęczowe uśmiechy nie wisały nad nami od rana do nocy. Gdzieś w głowie utkwiła mi fraza, że życie to suma momentów. Rzeczywiście. Były też takie trudniejsze.

Wspominam ten wieczór do dziś.

To taki, kiedy padają trzy słowa za dużo i potem nawet w najlepszych momentach zastanawiasz się, czy aby na pewno to było tylko „chlapięte w złości” wiadro jadu...

Dzień jak zawsze, coś nie wyszło. Trzeba było odebrać paczkę z innego paczkomatu, bo nasz przepełniony. Spóźnił się kurier ze sznurkami, milion durnych telefonów nachalnych sprzedawców paneli fotowoltaicznych (nie mamy domku, tylko mieszkanie! Skąd oni mają nasze numery?!) rozbijał skupienie i generowanie trzystu etykiet do paczuszek potrwało jakieś trzy godziny dłużej niż zwykle.



Zaczęliśmy pakowanie z dużą obsuwą.

Dzieci chyba wyczuwały *deadline* w powietrzu, bo o harmonijnej współpracy nie było mowy. Kłótnie o pieczętkę, podarte etykiety i trzaskające drzwi pewnie by nas mocniej ruszyły, gdyby nie to, że trzeba było się spieszyć. Kurier ze specjalnie zamówionym większym dostawczakiem już sygnalizował, że później niż o 18.30 nie chce kończyć pracy. Przy wtórach pochrapywania najmłodszej (nie zaliczyła drzemki, więc oboje widzieliśmy, jak długi będzie dzisiejszy wieczór, skoro zasnęła po 17.00) pakowaliśmy szydełka i sznurki jak szaleni. Przecież warsztat online już za kilka dni. Do tego czasu paczki muszą dotrzeć do uczestników. A przyda się przecież jeszcze dzień lub dwa na zapas, w razie jakiegś awarii, pomyłki, niedoręczenia.

Nie zdążyliśmy.

Obrażony pan kurier zabrał niecałą połowę („bez sensu to auto specjalnie brałem, przecież mogłem tym, co zawsze!”), a my pakowaliśmy dalej.

Wyścig z czasem trwał. Jutro kolejna porcja, nie mamy nawet gdzie upchnąć! Jeżeli nie zdążymy, to chyba resztę będziemy pakować na balkonie. Przy minus trzech stopniach Celsjusza na zewnątrz.

I się zaczęło.

I nie, nie tylko to jedno słowo za dużo. Nie tylko ten ton rozmowy, w którym nie szukamy rozwiązania, ale racji.

To była ta nieznośna myśl, która przebiegła mi przez głowę, kiedy powiedział coś, co zabolalo najmocniej.

„On ma rację”.

Kosztem spragnionej przytulasów malutkiej, kosztem wspólnego czytania ze starszakami, kosztem spokojnego posiłku zamiast drugiej pizzy w tym tygodniu... pakowałam paczki.

Nie myłam już pupy maludy ciepłąką wodą i bawełnianymi wacikami – raczej w turbotempie ochlapywałam zimną nad łazienkowym zlewem. Nie gotowałam, nie robiłam śniadań do pracy i szkoły – Jacek przejął. Nie sprzątałam – zatrudniliśmy pomoc i Jacek też ogarniał takie drobne bieżączki. Godziny wybierania najważniejszych książek edukacyjnych zastąpiła lokalna biblioteka sąsiedzka albo regał promki w spożywczaku. Dawno odpuściłam umuzykalnianie, sensorykę i basen niemowlęcy, w końcu pandemii. Z pietyzmem wybierane wzorki na śpioszkach zastąpiło wdzięczne przyjmowanie prezentów od rodzinki i znajomych, którzy pozbywali się używek w czasie odgruzowywania szaf. Co z tego! I tak wiecznie brakowało mi czasu. Tamtego dnia podwójnie.

Pakowałam dalej sama.

Foch rodziny był bezlitosny.

Kazali wybierać.



A ja wybrałam pracę.

Nie mogłam inaczej. Wiedziałam, że to warsztatowe zlecenie finansuje wynagrodzenia kilku osób z zespołu. Nie mogłam sobie pozwolić na taką stratę. Taki *fuckup* mógłby mnie kosztować zbyt wiele. Byłam głodna, poprzecinana (cholerne kartony, w pośpiechu działają jak brzytwy), smutna, wkurzona i... przegrana jednocześnie.

Czy to naprawdę tak już musi być? Czy jego etat (mimo codziennej dziesięciogodzinnej nieobecności w domu) jest lepszy, bo spokojne wieczory pozwalają mu być tatą roku?

Czy skoro wybrałam home office, a covidowy lockdown dołożył cegiełkę trójki dzieci w domu jako extra level do przedsiębiorczych wygibasów, to powinnam zwolnić?

Czy muszę?

Czy skoro u podstaw tej działalności leży praca wspierająca życie prywatne, a nie odbywająca się jego kosztem, to muszę coś zmienić? Ale właściwie co? Co jeszcze?!

Do choinki!

Tworzyłam ten biznes w określony sposób właśnie po to, abym mogła być przy nich wieczorami i popołudniami, zamiast wybiegać na kolejny warsztat, a teraz zapętliłam się w odwrotność i pakuję paczki w pokoju obok, zamiast czytać wspólnie bajki.

Wydawało mi się, że to sytuacja bez wyjścia. Przecież chcę zarabiać – to luksusowy problem nadmiaru klientów wpędził mnie w tarapaty. Przecież chcę spędzać czas z rodziną – mam dowody, że kiedy współpracujemy, nie tylko te paczki zajmują nam chwilę, ale jeszcze uczę dzieciaki czegoś, co chcę w nich zaszczepić, jak moi rodzice zaszczepili we mnie: gen przedsiębiorczości.

Z pomocą znowu przyszedł biznesowy krąg kobiet.



Rozwiązanie okazało się systemowe, ale proste do bólu.

POMOC! Zatrudnij pomoc.

Banał, prawda?!

Nie mogę uwierzyć, że potrzeba było dojść do ściany, żeby sobie to uświadomić.

O ile wirtualne wsparcie to zero problemu (wiem, że liczba zadań dawno mnie przerosła, a pierwsze osoby na pokładzie pokazały, że podzielenie się tą pracą to nie koszt, a inwestycja w rozwój) o tyle na domowym gruncie zosiosamosiowanie to już była moja pięta achillesowa.

Oj, stanowczo za wiele czasu zajęło mi nauczenie się proszenia o pomoc.

Myślałam, że przez gardło nie przejdzie mi fraza: „To może podzielimy się obowiązkami w domu – wiesz, ja teraz pracuję jeszcze intensywniej, trochę szkoda mojego czasu na mycie podłogi, skoro w tym czasie mogę zarobić na twoje nowe buty do biegania”. Ten argument chyba rozpoczął naszą falę renegocjacji domowej struktury zadań.

Przedziwnie DAŁO SIĘ odpuścić, oddać albo po prostu poszukać kogoś, kto poratuje nasz bajzelek dodatkową parą dłoni.

Do dzisiaj nie mogę uwierzyć, jak kurczowo trzymałam się tego miliona małych domowych obowiązków. Jakby to definiowało mnie jako żonę, matkę, gospodynię domową czy kobietę, a ich brak miałby mi cokolwiek ująć.

Wręcz odwrotnie!

Po kilku przygodach z białym praniem zafarbowanym na różowo (Kochanie, tak! Nawet jedna kolorowa skarpetka potrafi czynić takie cuda), obiadem odgrzewanym trzeci dzień przy wtórce



marudzących dzieci i kolejnym tygodniu klejącej podłogi, zaczęliśmy wychodzić na prostą.

Totalnie nieswojo czułam się w tej roli. Pierwsze kilka razy, kiedy Jacek wieszał pranie, chciałam odruchowo biec i poprawiać, ale pilnowałam, by tego nie zrobić. Nauczyłam się, że krzywo wyschnięty T-shirt też można na siebie założyć (jedyne plus covidowego niewychodzenia z domu), że dzieci mogą chodzić w skarpetkach niedobrych kolorystycznie do spodni, a nieuczesane w warkoczek włosy nauczą się w końcu nie włożyć do buzi dzięki opasce na głowie.

W miarę jak zatrudniliśmy kolejne osoby do pomocy w domu, przecierałam oczy ze zdziwieniem. To wcale nie kosztuje tak dużo. Te pieniądze są niektórym osobom potrzebne do przetrwania. To jest praca, którą niektóre osoby robią, bo po prostu bardzo to lubią (to chyba najbardziej nie mogło mi się pomieścić w głowie! Ja uwielbiam porządek, ale nie znoszę sprzątanía!).

Nagle w spokojniejszej atmosferze, bez wiecznego pośpiechu mogliśmy z przyjemnością coś ugotować, uporządkować, zaplanować. Nie to, żeby magiczna chmurka wiecznej sielanki otuliła szczerze naszą codzienność, jednak oboje z mniejszą częstotliwością podnosiliśmy głos. **Zaczęliśmy częściej szukać miękkich rozwiązań, a nie tego, kto ma rację.**



jednym słowem

Bogactwo kolorów sznurków, a wszystkie leżały cały czas w szufladzie.

w skrócie

Okazało się, że mam wszystko, czego mi potrzeba... wełny i akryle, alpakę i merino, ale i trochę domieszek.

Nagle pojawiały się rękodzielniczki, które dziergały ze mną – z tego, co mam!

Przynosiły też swoje motki! I szydetka, a nawet druty!

Nawet pewien „niemanualny” pan zaczął coś ze mną tworzyć.

zawikłość

Czy zawsze doceniam swoje zasoby?

Od razu kupuję brakujące czy szukam korzystnej wymiany?

A może po prostu rozdaję włóczki, ufając, że w zamian otrzymam coś, co mnie pozytywnie zaskoczy?

Czy w ogóle istnieje idealna włóczka, która jest dobra do wszystkiego?





ROZDZIAŁ 20

O... pruciu...
... i dzierganiu
od nowa

Trzy miesiące minęły jak kilka dni.

Kiedy przyszedł ten nieuchronny moment spotkania stowarzyszeniowej grupy, czułam ścisk w żołądku.

Im bliżej, tym bardziej rozważałam w głowie, jak IM to powiedzieć.

Czułam, że bez drenujących cotygodniowych spotkań moja energia do pracy rośnie z każdym dniem. Bez podcinających skrzydła, bezproduktywnych rozmów znalazłam czas na porządkowanie struktury biznesowej firmy, zmierzenie się z zatrudnianiem kolejnych osób, uporządkowaniem nowej strony WWW.

Wiedziałam już, że nie możemy wrócić do stacjonarnych warsztatów, ale wiedziałam też, że dziewczyny ze Stowarzyszenia nie chcą online'u. Finansowane przez zewnętrzne jednostki projekty dawały tylko kaganiec w postaci stosu papierzysk i ograniczeń formalnych i nieuchronnie popychały do formatu nudy przestarzałego domu kultury. Wiedziałam, że Oplotki stać na więcej. Chciałam ambitnych, uskrzydlających projektów, dedykowanych przedsiębiorczym kobietom. Chciałam, abyśmy wróciły do korzeni, czyli każda z nas samodzielna w swoim biznesie, ale razem tworzymy coś dodatkowego, większego niż my same. Wiedziałam, że nie chcę dźwigać odpowiedzialności za biznesowe kroki każdej z członkiń, skoro nie mam na decyzje w tym obszarze wpływu, przynajmniej nie takiego, jaki mam na osoby w moim zespole... w mojej firmie.

Tutaj każda miała mieć równorzędny głos, aby współtworzyć.

– Mamy to! Taka duża marka zaufała Oplotkom. Oni uwierzyli, że rodzinna rękodzielnicza działalność prowadzona przez mamę trójki dzieciaków jest w stanie logistycznie ogarnąć setki paczek z warsztatowymi materiałami i zarażanie bakcylem rękodzieła w formacie online. Dokładnie w momencie, kiedy stacjonarne warsztaty rękodzieła zostały zmiecione z powierzchni ziemi przez pierwszą falę lockdownu, oni zaczęli zamawiać setki



warsztatów przez internet – zaczęłam...

Kiedy podczas stowarzyszeniowego spotkania na ZOOM-ie zadałam pytanie: „Kto się pisze na prowadzenie warsztatów w pokojach webinarowych”, zapadła głucha cisza.

Maluda, jak na złość, rozchorowała się (mamy wiedzę, jak dzieci wyczuwają idealny moment na katarek). Choć byłam na siebie zła, że tak ważna rozmowa odbywa się z dzieckiem na rękach, było mi łatwiej przełknąć to, co się potem zadziało... Przytulałam ją trochę mocniej, kojąc własne nerwy.

Chyba było w tym coś z symboliki.

– Wiesz... chcemy zmiany nazwy.

– Nie identyfikujecie się już z duchem Oplotek? – krzychało moje wnętrze.

Choć wiedziałam, że to nie będzie łatwa rozmowa, to nie spodziewałam się tak fundamentalnego „nie” dla idei, która stała się powodem założenia Stowarzyszenia dwa lata wcześniej.

Nie, nie było mi nawet przykro, że pada taki postulat. Chodziło bardziej o to, że nie było alternatywy. To nie było ewolucyjne proponowanie nowego kierunku, nowego otwarcia, nowego rozwiązania, nowej nazwy. To było odcięcie się od tego, co stworzyłam. Odrzucenie jako złe, nieprawidłowe, nie do przyjęcia na dalszą drogę. To była chęć zaczynania od początku, ale bez Oplotek.

Nie mogłam tego przełknąć. Stuprocentowo nieprofesjonalnie poryczałam się i odebrałam to jako atak personalny (ech, człowiek uczy się prowadzenia trudnych rozmów całe życie, a ja ewidentnie miałam wtedy dużo do przepracowania w tym zakresie). Teraz już trochę sobie to zracjonalizowałam, ale zabolalo, kiedy wobec totalnego, absolutnego i natychmiastowego sprzeciwu zostałam poproszona o rezygnację z udziału w Stowarzyszeniu, któremu



przewodziłam, którego byłam inicjatorką, pomysłodawczynią, taką trochę... matką.

To była cenna lekcja. Nauczyła mnie, że warto czasem posłuchać rad rodziców. Mam to szczęście, że od maludy przyglądałam się sinusoidom ich przedsiębiorczych wzlotów i upadków. Rzucane mimochodem po każdym większym sukcesie i niepowodzeniu rady budowały moje dzieciństwo. „Pamiętaj! Umowy piszemy na dobre czasy, aby te złe cię nie złamały”, „Ufaj ludziom i dawaj bezgranicznie, ale zawsze miej plan B”, „Zakładaj dobre intencje, ale zabezpieczaj swoje interesy na wypadek złych”.

Brzmi to może jak przestrogi z bajek czytanych na dobranoc, ale kiedy startowałyśmy (napędzane dzikim entuzjazmem) z projektem Stowarzyszenia, kierowałam się poradami tych, którzy prowadzą swoje biznesy latami.

Zgodnie z radą rodziców: „Ucz się od tych, którzy są tam, gdzie Ty chcesz być”, kiedy pierwszy raz pomyślałam o stowarzyszeniu, zaczęłam od wypytywania znajomych prowadzących fundacje i stowarzyszenia, od czego zacząć. Pierwsze, co mi poradzono: Zleć założenie i papierologię radcy prawnemu, szkoda na to czasu i energii, bo to przedzieranie się przez gąszcz zawiłości, które i tak przechodzisz tylko raz. Nie warto się tego uczyć, chyba że planujesz zakładanie kilkunastu stowarzyszeń”.

Tak też zrobiłam.

Wpis do KRS dla Stowarzyszenia Oplotki zmaterializował się, nie bez uzasadnionej radości, po zaledwie miesiącu. Znalazłam radcę prawnego i to on przeprowadził dla Stowarzyszenia cały proces rejestracji. Na szczęście zlecenie zagadnień prawno-formalnych weszło mi w krew po kilku przygodach, kiedy któraś z nas nieudolnie próbowała poradzić sobie z jakąś zmianą formalną (totalnie rozumiem wysokie stawki specjalistów, za żadne skarby świata nie chciałabym się przedzierać przez te czasochłonne meandry prawidłowych postępowań stowarzyszeniowych. Ponownie – każda próba oszczędności kończyła się podwójnym



wydatkiem – czasu i pieniędzy). Nauczona doświadczeniem – na stałe współpracowałam z wykwalifikowaną radczynią prawną. I to niejedną.

Potem, w tak krytycznym punkcie naszego przedziwnego stowarzyszeniowego impasu – było do kogo zwrócić się o wsparcie. Radczyni prawna na zimno i bez zbędnych emocji poinformowała o najdogodniejszych opcjach zaspokojenia potrzeb każdej z nas. Ostatecznie dziewczyny z zapasem stowarzyszeniowego *know-how* poszły własną ścieżką, ja pozostałam z pytaniem „co teraz?” i stosem formalności wieńczących dłuuugotrwały proces... Zamykania? Zmiany? Redefinicji? Stowarzyszenia Oplotki...

Nie mogłam uwierzyć, jak dużo emocji towarzyszyło każdemu z tych kroków. Nie ma sensu przytaczanie historii, które w moim odczuciu były poniżej pasa. To tylko moja opinia, moje emocje... Przyda się jednak udokumentować kilka wniosków. Może i w Twojej historii są takie punkty, kiedy ogromne rozczarowanie sprawiało, że nie chciałaś dłużej działać.

U mnie znieczulenie działało po to, bym nie czuła bólu porażki. Tak właśnie odbierałam to, co się zadziało. Jak to? Biznesowa rakietka nie potrafi tchnąć ducha przedsiębiorczości we własne Stowarzyszenie? Jak to? Nie chcę już rozdawać siebie za darmo, gdzie popadnie, więc nagle wszyscy znikają? Jak to? Jak ktoś nie zapłaci, to nie będę wspierała długimi miesiącami w krokach biznesowych?

Otóż potrzebowałam odpowiedzieć sobie „nie” na wiele jeszcze trudniejszych pytań.

Paradoksalnie jednak mówienie „nie” zamyka te drzwi, przez które i tak nie chcemy przejść. Skutecznie jednak daje możliwość spaceru dłuuuugim korytarzem autorefleksji i świadomego otwarcia kolejnych drzwi.



Powiedziałam „tak” kolejnej próbie tchnięcia idei promowania przedsiębiorczości rękodzielniczej w Stowarzyszenie Oplotki. Ogołoczone z członków, odarte z projektowych inicjatyw, którym wewnątrz powiedziałam „nie” – otworzyło mnie na nowe.

Chciałabym tutaj, oczywiście, przytoczyć historię z happy endem, ale powiem Ci tylko, że znowu eksperymentuję.

Tym razem przejęłam rolę liderki w Stowarzyszeniu. Finansuję je z firmowych zarobków (czyli z własnej kieszeni), ale mam też dziką frajdę i wolność testowania pomysłów, na które nie odważyłabym się przy zewnętrznym finansowaniu.

Irracjonalnie czuję, że nie bez powodu rocznica rejestracji Stowarzyszenia przypada na dzień moich urodzin. Pewnie przy jakiejś okrągłej imprezie ze „Sto lat” w tle będę wspominać słowa, które właśnie piszę.

Niezależnie od tego, jak potoczą się losy tej organizacji, wierzę, że misja wspierania kobiecej przedsiębiorczości będzie realizowana w Oplotki z coraz większym rozmachem. Nie wykluczam zewnętrznych sponsorów, wiem jednak, że na razie sama nim jestem. I tak jest uwalniająco-motywujuco-wygodnie.



jednym słowem

Lepiej spruć od razu, kiedy zauważysz błąd.

w skrócie

Ignorowanie nieudanych oczekiwań nie sprawi, że znikną.

Raczej się nie naprawia, więc pruj od razu.

Szybciej zaczniesz od tego krytycznego punktu, szybciej naprawisz całość.

zawiłość

Czy czasem po prostu rzucam robótkę w kąt czy pruję od razu, kiedy zauważę błąd?

Jak często spoglądam na pracę z dystansu, aby zlokalizować krzywe oczka?

A może potrzebuję, żeby ktoś pokazał palcem, że coś się krzywo zaplotło?

Kiedy ostatnio musiałam coś spruć do zera?





ROZDZIAŁ 21

O... innych
technikach...
... bo nie samym
szydełkowaniem
człowiek żyje

To było tak zaskakująco oczywiste.

Jednym z cennych momentów „aha” całego tego zamieszania ze Stowarzyszeniem, firmą, pandemią, dziećmi w domu, zamknięciem pracowni, ogólnospołecznym strachem podszytym niepewnością było uświadomienie sobie rzeczy, które pewnie nieuchronnie przysłyby z czasem. Choć pewnie dużo, dużo później...

Nagromadzenie równoległych przełomów stało się jednak ogromnym katalizatorem.

W kryzysowych zawieruchach sprawdziło się obserwowanie menterek biznesowych, które pokazały, że to czas, by mówić głośno o swoich wartościach. Ze wzruszeniem obserwowałam, jak potrafimy jednoczyć się jako ludzie, kobiety, przedsiębiorcy, konsumenci, sąsiedzi, rodzina. Poczułam, że skoro w dobie kryzysu niektóre osoby odchodzą, odwracają się – to pewnie prędzej czy później i tak by się to stało. **Potraktowałam kryzys – w tym kontekście – jako dar** przyspieszenia, wyostrzenia, bezkompromisowego unaocznienia czegoś, co często czaiło się pod powierzchnią i pewnie potrzebowałoby dużo więcej czasu, by zostać odkryte.

Odkryłam w sobie niesamowitą wiarę w to, co robię. Niby czułam, że Oplotki to coś, co wypływa z głębin tego, kim jestem jako człowiek, ale to pandemia pozwoliła mi nazwać wartości, które przeszczepiłam z bijącego serca do budowanego mozolnie biznesu.

Szczerość, otwarta komunikacja, wspieranie proaktywności, branie odpowiedzialności za własne szczęście, sukces, definiowanie ram swojego działania, opierając się na tym, co jest nam bliskie na poziomie uczuć, celów, marzeń – pandemia pozwoliła mi skonfrontować to, co o sobie myślałam, z tym, co rzeczywiście było w środku.



Czasem ze zdziwieniem odkrywałam, że nie lubię, nie podoba mi się, nie chcę pewnych obszarów w sobie przyjąć, ale ich dostrzeżenie i przyglądanie się z uwagą dało siłę do decyzji, czy akceptuję, czy chcę zmieniać.

To, co wydawało mi się wadą (tryskam pomysłami, ale kończenie zaczętych projektów to moja pięta achillesowa), stało się świadomym obszarem poszukiwań (głównie wsparcia w najbliższym otoczeniu). Nauczyłam się, że udowodniłam sobie i światu, że we wszystkim trzeba pływać olimpijskim kraulem, nie zostawia przestrzeni na wzrost. Kiedy dałam sobie prawo do słabości – nie tylko okazało się, że otacza mnie wianuszek świetnych specek, które uzupełniają moje braki, ale również położyłam akcent na to, co robię najlepiej, by było jeszcze lepsze. Pływam sobie spacerową żabką bez zamaczania głowy i dobrze mi z tym brakiem balastu medali na szyi.

Uwalniająca przestrzeń zaowocowała najcenniejszą dla mnie nagrodą.

Jeszcze więcej czasu mogę spędzać z przedsiębiorczymi, twórczymi duszami, które cenią sobie niespieszne tu i teraz. Choć w moim wydaniu to ciągnęła gonitwa (za to też biczowałam się nieustannie), odkryłam, że dla każdego słowo słów znaczy coś zupełnie innego. Niezależnie od tego, czy wolno, czy w ciągłej pogoni... zawsze chodzi o wybór. Chodzi o to, że jest to tak bardzo NASZA droga, że inną po prostu kroczyć nie mamy ochoty.

Warsztaty z dużą firmą (która praktycznie katapultowała Oplotki do ekstraklasy z budżetem na stałe zlecenia) stały się najprzyjemniejszą częścią procesu wysyłkowego. Niespieszne szydełkowe lekcje przy ploteczkach zaskarbiły sobie nawet własny hashtag i grono stałych bywalczyń. Bezcenne były momenty, kiedy na listach uczestników (podczas drukowania setek paczkowych etykiet) zaczęłam po jakimś czasie rozpoznawać znajome nazwiska. Uwierzyłam, że nawet w szalonej skali internetu kryje się intymna relacja z drugim człowiekiem.



Z podziwem odkrywałam, że online z powodzeniem zastępuje nam kawiarnie, imprezy, wyjścia do sąsiadów. Obawa, że **technologia** nie sprosta wyzwaniu tworzenia realnych więzi międzyludzkich, zamieniła się na pewność, że **otwiera nowe możliwości**.

Tradycyjne pytanie na rozbieg warsztatów: „Skąd dzisiaj się łączymy?” rozświetlało czat nazwami najodleglejszych zakątków. Osoby, które (teraz już wiem) nie spotkałyby się nigdy stacjonarnie, nagle tworzyły jedną społeczność. Własne żarciki, wymiany dobrymi radami, patenty na radzenie sobie z pandemiczną rzeczywistością wrosły w nasze spotkania. Dla mnie stały się materialnym (choć online’owym) dowodem, że coś, co było nie tak dawno tylko ulotną wizją w mojej głowie, działa się w najprawdziwszej rzeczywistości.

Dostałam największy prezent od tego paskudnego wirusa, który tak poprzestawiał nasz świat.

Dostałam spełnienie marzenia o biznesie, który nie tylko wspiera finansowo moją pięcioosobową rodzinę, daje pracę kolejnym przedsiębiorczym kobietom, ale też realnie wpływa na osoby, które stykają się z naszą marką w roli odbiorcy.

Zdałam sobie sprawę, że online, który ciągle wydawał mi się czymś nie do końca porównywalnym ze spotkaniem na żywo, okazał się – na przekór – dawać bliskość, wsparcie i narzędzie do wspierania innych bardziej, niż kiedykolwiek marzyłam.

I oczywiście tęsknię za spotkaniami na żywo, wracam z sentymentem do formuły dawnych warsztatów, szkoleń dla twórców rękodzieła, ale jednocześnie nie tkwię w tym żalu, tylko proaktywnie wyciskam z obecnej sytuacji, ile się da.

Oplotki stały się jeszcze bardziej potrzebną przystanią. Nie tylko dla spragnionych rozmowy fanów, ciekawych nowej techniki, ale również dla twórców rękodzieła, którzy chcą swoimi umiejętnościami dzielić się ze światem.



Kiedy poczułam ten ogromny podmuch wiatru w żagle, zrozumiałam, że wirus nie przewrócił mojej łodzi. Wręcz odwrotnie – tempo podróży wzrosło niebotycznie, a kurs z niespotykaną dotąd pewnością skorygowałam co do milimetra.

Dokąd płynie ta szalona ekipa w lśniącej motorówce z logo Oplotek? Do krainy, w której nigdy nie brakuje włóczki, domowego ciacha, szczerzej rozmowy i nieznośnego rzucania sobie kolejnych wyzwań – ot tak, dla sportu.

A całkiem poważnie...

To w końcu do mnie dotarło.

Nie! Nie to, że wszyscy na tym pokładzie wiosłujemy w tym samym kierunku.

Raczej to, że...

To nie jest zbiorowa wyprawa za ocean.

My wszyscy już tam tak naprawdę jesteśmy.

Każdy z nas przepląwa miliony mil, aby dotrzeć do tego miejsca, z którego wyruszamy.

Do siebie.

Potrzebujemy tylko dać sobie pozwolenie, żeby to odkryć.

I żeby zdobyć się na odwagę na tę pasjonującą podróż do wewnętrznego domu.

Kiedy tylko pozwolimy sobie na zmierzenie się nie tylko z tym, czego pragniemy, ale też z tym, na co godzić się nie zamierzamy, nagle cały świat zaczyna nam pomagać.



Nagle na naszej drodze pojawiają się osoby, które myślą, czują i działają tak samo. Nagle czujemy się „u siebie” nawet w najdalszych zakamarkach internetu. Szalona konsekwencja zadawania sobie tego samego pytania w kółko sprawia, że nawet najdłuższa wyprawa prowadzi nas nieuchronnie do nas samych.

Kiedyś pytałam: „Czy to jest dobre/złe/właściwe/odpowiednie...?”.

Zastanawiałam się: „Czy wypada, czy mi wolno, co powiedzą inni...?”.

W końcu odważyłam się zadać sobie pytanie: „Czy to jest mi bliskie?” i powiedzieć „tak” tylko tym projektom/inicjatywom/ludziom, którzy rzeczywiście są.

I wiesz, te piękne momenty nie zadziałyby się, gdybym nie powiedziała „nie” tak wielu, wielu innym...

Nie gorszym/złym/nieprawidłowym.

Po prostu takim nie moim.

Ty też możesz powiedzieć „nie” niektórym ludziom/sytuacjom/oczekiwaniom. Naprawdę.



jednym słowem

Rękodzieło to jednak coś więcej, niż zaktadałam.

w skrócie

Szydełka, druty, igły i nici, płótna, farby, kanwy i wzory...

One są wszędzie!

Schematy można skopiować, ale ich twórcze reinterpretacje to już niezła sztuka.

Rękodzieło zaczyna się w głowie... a dłonie tylko pomagają.

zawikłość

Bywam kreatywnym twórcą!

Czy lubię konfrontować schematy i wymyślać je na nowo?

Polegam na wypróbowanych?

Tworzę własne?

A może po prostu czasem zmieniam technikę?





ROZDZIAŁ 22

O... rrrrety!

Zamknęłam pokój webinarowy. Miało być półtorej godziny. Wyszło dwie i pół. Szybko wyłączyłam komputer i pognałam na siku (trzymałam od godziny, ale dyskusja była tak cenna, że nie chciałam stracić ani minuty). Wystawiłam tylko jeszcze fakturę. Uśmiechnęłam się w duchu – wiedziałam, że to, co kiedyś zarabiałam w rok, teraz w ciągu miesiąca utrzymuje mały tłumek szalonych rękodzielniczek z Oplotek. Z chwili rozmarzenia na temat tego, ile jeszcze osób uda nam się zarazić pozytywnym bakcylem rękodziela, wyrwał mnie zegar.

Oż! Miałam dołączyć do nich na placu zabaw po godzinie. Zaburczało mi w brzuchu, ale wyszłam, jak stałam. Minęły prawie trzy. Jacek zrobił pomidorówkę, ale wolałam się przewietrzyć. Zjem na kolację. W czystej sukience, z ulubionymi kolczykami w uszach, z drewnianą malowaną broszką w kształcie sikorki, z lekkim makijażem i nienagannym splotem we włosach. Rasowa matka trójki z uśmiechem od ucha do ucha i zerowymi symptomami umęczenia macierzyństwem. Objaw nader niepożądany na placu zabaw. No trudno. Odpaliłam podcast w słuchawkach i teleportowałam się do równoległej rzeczywistości.

Modne mamy. Scrollujące fejsa nianie. Tatusiowie uzbrojeni w mokre chusteczki, przekąski, zabawki, ciuszki na przebranie i kilogramy niepotrzebnych gratów. Huśtawkowa kolejka i plotki na kocyku. I moja ekipa.

„Kocham cię” pomyślałam tylko w głębi serca, kiedy mężu wyszeptał mi na powitanie: „Kolejny tatuś dopytywał, jak ja ogarniam trójkę, kiedy trzaskasz te swoje onlajny. To mu dorzuciłem, że na dodatek jeszcze kolację dzisiaj robię, niech się uczy!” (Jacek stał się mentorem dla nowicjuszy w tacierzyństwie).

Wróciliśmy. Pizza miała przyjechać za dziesięć minut...

Nie byłam dłużej niż trzy minuty na placu zabaw, ale irracjonalnie ufałam, że w ciągu minionych dwóch godzin dzieci nie objadły się obsikany przez psy piaskiem, nie porwały przekąsek



obcych dzieci, nie uderzyły kogoś w bitwie o łopatkę. A jeżeli już, to chociaż przeprosiły. Mam nadzieję, że niedopilnowane przez Jacka, nie robiły nie wiadomo czego.

A może i tak?

Pewnie jakiś czas temu skatowałam się wyrzutami sumienia. Co za matka!

Dzisiaj uśmiecham się serdecznie i pogadam chwilę z mamą półrocznego szkraba o biżuterii handmade, którą właśnie mam na sobie. Wiem, że doceni wymianę myśli spoza świata bezglutenowych przekąsek. Pewnie tak jak ja na początku długiej, wyboistej macierzyńskiej drogi wita trochę nadziei wśród zamartwiania się o nadmiar cukru, bakterii, przegapionego szczepienia, katarku czy pareningowych blogów bombardujących jedynymi słusznymi sposobami na szczęśliwe macierzyństwo.

Czuję się taka... Potrzebna? Fajna? Doświadczona? Wyluzowana? Ogarnięta?



Powabna.

Tak! To jest to słowo!

Uśmiechnęłam się szeroko.

Z małą łezką, jak po powrocie do domu z najdłuższej podróży.

Przytuliłam moje łobuzy w domu. Zdjęłam już ulubioną biżuterię, przymknęłam oko na brudne łapki na ulubionej sukience.

Niby stałam dokładnie w tym samym miejscu, co kilka lat temu, kiedy gapiłam się na dwie kreseczki drugiego testu ciążowego.

A może to był trzeci test?

A może ten pierwszy?

Nie pamiętam.

To było tak dawno temu.

Tak... daleko.

Fizycznie.

Niby w tym samym punkcie.

Dokładnie tu. W domu.

Mentalnie...

Hm...

Lata świetlne, morza i oceany... i kilometry włóczki stąd.





POSŁOWIE

Pewnie zastanowiło Cię to karkołomne żonglowanie czasami.

Niby piszę o przeszłości, a czasem teraźniejsze formy czasowników zakradają się do tekstu.

Przecież w szkole uczyli, że tak nie wolno!

No jak to?!

Rasowa kujonka robi takie rzeczy?!

Niektóre wspomnienia są we mnie jednak tak żywe, jakby działa się od nowa TU I TERAZ, bez przerwy.

Nie potrafiłam o nich pisać w czasie przeszłym... Każde z nich przypomina mi, dlaczego dokonuję codziennie takich, a nie innych wyborów.

Ty też masz takie momenty, które odtwarzasz w sobie?

Masz takie chwile, które żyją własnym życiem i zmieniają Cię na co dzień?

Jeżeli moja historia obudziła w Tobie chęć pogoni za TWOJĄ definicją szczęścia, sukcesu...

Jeżeli choćby przez chwilę zaczęło w Tobie kiełkować przekonanie, że WARTO spełniać MARZENIA...

Podziel się, proszę, tą moją historią z serdeczną koleżanką.
A jeżeli chcesz podzielić się ze mną swoją refleksją,
koniecznie pisz:

ksiazka@oplotki.pl

Agnieszka Gaczkowska

OPLOTKI

Czy to koniec?

Mam ogromną nadzieję, że to dopiero początek Twojej drogi do sięgania po marzenia, kreowane Twoimi potrzebami, wartościami, własną definicją szczęścia. Te o prężnie działającym biznesie handmade również.

Już wiesz, że można. Ba! Nawet trzeba! Ale nie wiesz, gdzie skierować pierwsze kroki...

Zapraszam na:

[OPLOTKI.PI/ksiazka-bonusy](https://oplotki.pl/ksiazka-bonusy)

Tu znajdziesz odpowiedź, w jaki sposób mogę wesprzeć Twoje działania.

Copyright © Agnieszka Gaczkowska 2021

Wydawca: Oplotki

Wydanie 1

Redakcja: Pretty Well Done

Korekta: Pretty Well Done

Projekt okładki i ilustracje: Natalia Winiarz

Nad przygotowaniem książki do druku czuwał:



Projekt i skład: Wiesia Kłosińska

Druk: druk-24h.com.pl

ISBN 978-83-957828-1-7

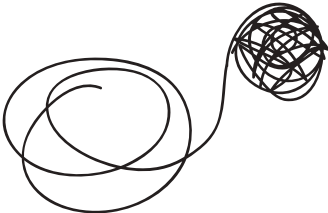
Ta książka powstała dzięki sukcesowi kampanii crowdfundingowej
www.oplotki.pl/ksiazka/

W realizacji tego projektu brali udział:

- Anna Chmielewska-Stadnik – copywriting i wsparcie procesu promocji
- Agnieszka Gaczkowska – pomysłodawczyni i wizjonerka całego projektu
- Szymon Kryczka – realizacja strony internetowej kampanii
- Olga Kuczyńska – koordynacja i całościowa opieka nad projektem
- Aga Płoska – mentorka crowdfundingowa
- Marta Szaduro – wsparcie procesu promocji
- Natalia Winiarz – opieka graficzna nad projektem
- Ela Wolińska – wsparcie procesu promocji

Prosimy, nie kopiuj i nie rozpowszechniaj tej książki w nielegalny sposób.
Szanuj naszą pracę. Jeśli chcesz wykorzystać fragmenty książki, to oznacz
je cytatem i podaj źródło.

Kontakt: ksiazka@oplotki.pl





HANDIEU



zlapzajaczka.pl

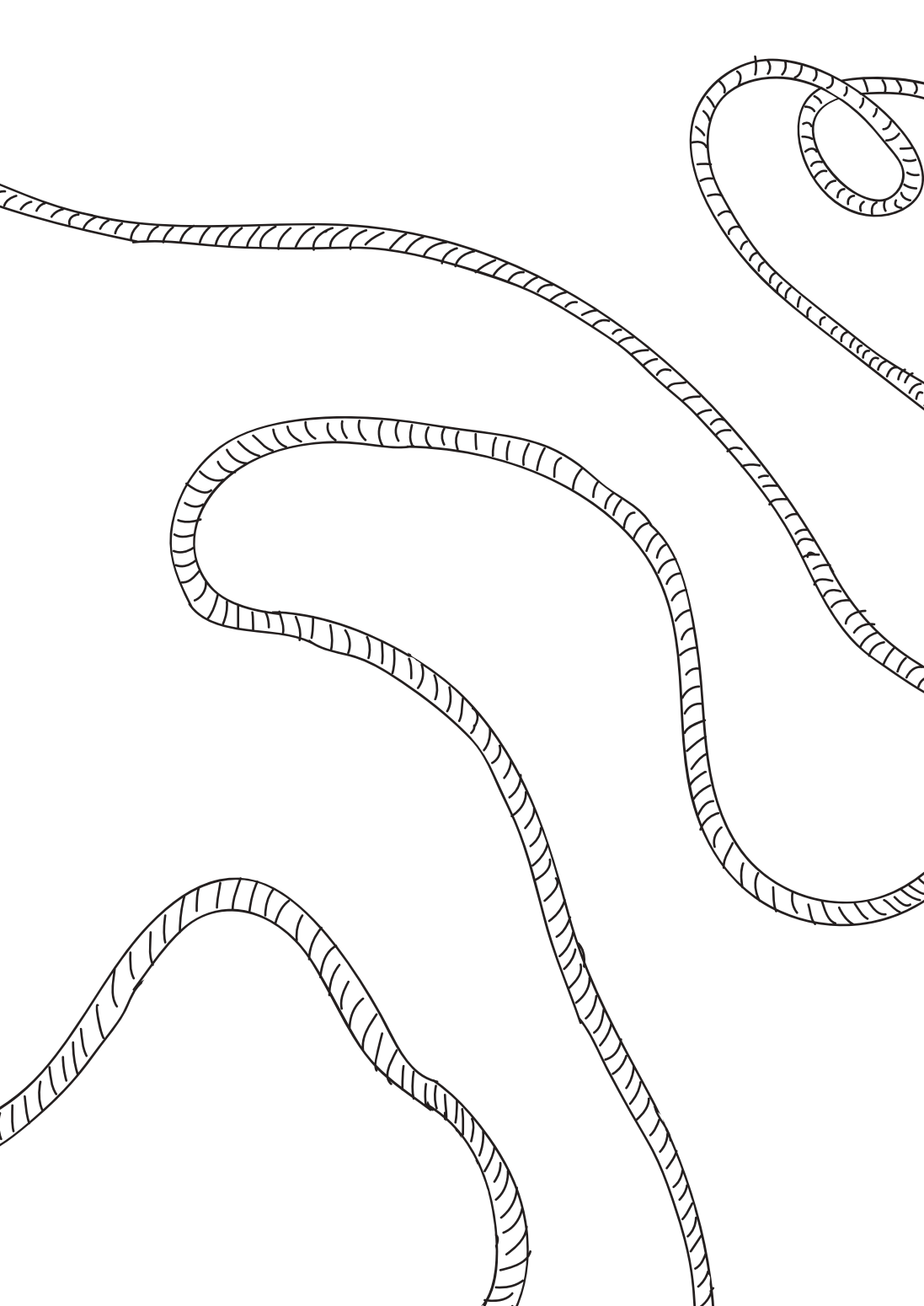


KORONI

WWW.KORONI.PL



starlotion.art



Myślałam, że piszę tę książkę dla przedsiębiorczych kobiet. Szybko jednak odkryłam, że z ciekawością może ją również przeczytać:

- **Pan, potrzebujący zrozumieć te „baby”,** które to chcą wszystko na raz — i dzieci, i kariera, i szczęście rodzinne...

- **Ktoś na życiowym, zawodowym, emocjonalnym „zakręcie”,** komu intuicja podpowiada jedno, a świat krzyczy drugie, i kto szuka dowodów, że WARTO słuchać tych cichutkich podszeptów duszy.

- **Mama, która czuje, że zaraz oszaleje w gąszczu parentingowych trendów.**

- **Ktoś, kto ma dość narzucanych z zewnątrz definicji SUKCESU** — kto zdecydowanie woli określić je samodzielnie.

Wierzę, że ta książka jest dla wszystkich, którzy chcą ŻYĆ... po swojemu.



Agnieszka Gaczkowska

Architektka ze słabością do rękodzieła. Założycielka Oplotki.pl – ekosystemu wzrostu dla fanów i twórców rękodzieła. Wraz z zespołem uczy różnych technik handmade podczas kursów i warsztatów on-line dla osób indywidualnych, grup zorganizowanych oraz pracowników korporacji. Prywatnie niepoprawna optymistka, fanka snowboardingu, mama trójki urwisów i zapalona podcasterka. Wierzy, że rękodzieło ma potencjał, by łączyć ludzi i sprawiać, że znowu patrzymy na świat oczami kreatywnego, pełnego ciekawości dziecka.

